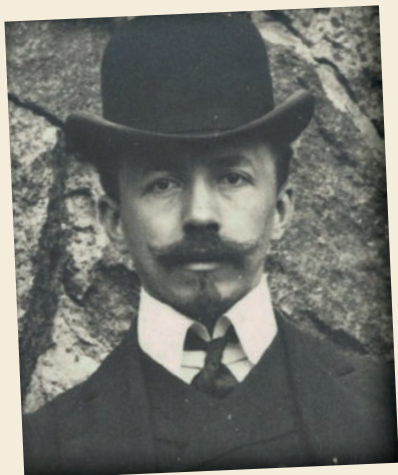


BIOGRAFIE NIEZWYKŁE



Zygmunt
Grudziński
1870–1929

Bronisław
Wiland
1874–1932



BIOGRAFIE NIEZWYKŁE

Zygmunt
Grudziński
1870–1929

Bronisław
Wiland
1874–1932

BIOGRAFIE NIEZWYKŁE

Bronisław Wiland, Zygmunt Grudziński

Zadanie współfinansowane przez Samorząd Województwa Wielkopolskiego



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**



wielkopolska.
kultura u podstaw

© Towarzystwo Samorządowe w Koninie 2021

Teksty:

Piotr Wiland
Ryszard Jałoszyński

Redakcja:

Ryszard Jałoszyński

Korekta:

Zbigniew Wojnarowski

Wydawca:



Towarzystwo Samorządowe w Koninie
www.ts.konin.pl

ISBN: 978-83-959624-2-4

Opracowanie graficzne i skład:

Rafał Otocki

Druk:

Drukarnia Wydawnicza Trans-Druk
www.transdruk.pl

SPIS TREŚCI

Piotr Wiland Mój dziadek – Bronisław Wiland	7
Piotr Wiland Brat mojej babci – Zygmunt Grudziński	35
Ryszard Jałoszyński Nieuleczalna pasja Zygmunta Grudzińskiego	69
Ryszard Jałoszyński Puławianin i obywatel ziemski	87

OD WYDAWCY

Wydajemy już dziewiątą pozycję książkową przywracającą pamięć, tym razem o dwóch wybitnych postaciach: Zygmuncie Grudzińskim i Bronisławie Wilandzie.

W najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczałem, że Kłodawa i okolice jest tak bogata w wybitne osoby, ciekawe zdarzenia. W 2014 r. odbyła się pierwsza kwesta, rok później pierwsza renowacja i pierwsza publikacja pt. „Kłodawskie cmentarze”. Kolejne działania inspirowały do nowych badań nad rodami, postaciami, wydarzeniami. Ogromną rolę odgrywa w nich moja żona Grażyna, która wertuje archiwa i przegląda stare gazety. Dwie publikacje są jej autorstwa.

Redaktorem większości publikacji oraz ich współautorem jest Ryszard Jałoszyński. Razem tworzymy mini zespół edytorski, który wspólnie działa i zakreśla plany na następne lata. Mnie przypada role organizatora, twórcy zabezpieczeń finansowych, ale też czasem rola przeprowadzającego wywiady i rozmowy z różnymi osobami.

W trakcie pracy nad wydaniem „Ludzi kłodawskich sołectw”, z którą wiązało się wiele kwerend oraz dziesiątki rozmów, natknąłem się na nazwisko Kazimierza Wilanda, nauczyciela, założyciela straży w Lubońku. W tamtej książeczce wspominaliśmy także Bronisława Wilanda, bohatera obecnej publikacji. Obaj Wilandowie pochodzili z jednego rodu, choć poznali się dopiero w okresie zakładania wiejskiej straży. Zaciekawiony tą rodziną, trafiłem na Tadeusza Wilanda i Krzysztofa Wilanda. Od pana Krzysztofa dowiedziałem się o pięciu liniach rodu Wilandów: zielonej, brązowej, czerwonej, niebieskiej i żółtej (kolory przyjęto kreśląc gałęzie drzewa genealogicznego), a co ważniejsze – o potomkach Bronisława żyjących we Wrocławiu, Piotrze, Marku i Joannie. Kontakt z prof. Piotrem Wilandem, przemiłym i życzliwym naszym przedsięwzięciom człowiekiem, w dużym stopniu pomógł w wydaniu tej książki. Oprócz tekstów napisanych przez profesora otrzymaliśmy od niego piękne zdjęcia autorstwa Zygmunta Grudzińskiego. Dziękuję za tę pomoc, współpracę i znajomość z nadzieją, że zaowocuje następnymi pracami.

Dziękuję wszystkim współpracownikom za wyrozumiałość we współpracy ze mną. Jak wspomniałem – te moje działania stały się pasją, która czasem wywołuje niecierpliwość, bo chciałoby się więcej i więcej.

Dziękuję żonie, bez której ten edytorski dorobek byłby o wiele skromniejszy.

Dziękuję wszystkim osobom wspierającym te działania, kwestarzom, innym wolontariuszom, darczyńcom, urzędom, instytucjom a także Towarzystwu Samorządowemu za aprobowanie tej działalności prezesa.

Bez Waszej pomocy niewiele byśmy wskórali.

Proszę zatem o dobre przyjęcie tej pracy i życzę miłej lektury.

Obiecuję, że nie ustaniemy w odkrywaniu następnych kart naszej kłodawskiej historii.

Ireneusz Niewiarowski
Prezes Towarzystwa Samorządowego



Krzykosy w czerwcu 2021 r. (na zdjęciu od lewej): prezes Towarzystwa Samorządowego – Ireneusz Niewiarowski, wnuk Bronisława Wilanda i autor wspomnień – Piotr Wiland, obecny właściciel dawnego dworku Grudzińskich – Karol Kłobuk.

Mój dziadek – Bronisław Wiland

Pierwsze zdjęcie mojego dziadka zobaczyłem w *Kronice Fotograficznej rodziny Cygańskich i Wilandów*, którą założyła przed laty moja mama Barbara z rodu Cygańskich. Tę księgę przekazała mi w posiadanie jak pałeczkę w sztafecie kolejnego pokolenia rodziny. Kronika miała przybliżyć naszej wyobraźni minione lata.

Ta jej myśl przyświeca mi przy tworzeniu rozdziału poświęconego mojemu dziadkowi Bronisławowi. Będę czerpać garściami z zachowanych zdjęć, na których – na szczęście – moi rodzice w większości wpisali daty i opisy sfotografowanych osób. Posłużę się w tych wspomnieniach zarówno relacjami zasłyszаныmi z ust rodziców, jak i spisanyimi wspomnieniami z dziejów rodu Wilandów – rodziny mojego ojca Michała.

Dzięki moim rodzicom, którzy przez wiele lat tropili rozgałęzione korzenie rodziny Wilandów, mogę jak najgłębiej wniknąć w genealogiczną przeszłość bohatera mojej biograficznej opowieści, Bronisława Wilanda. Był moim dziadkiem, ale nie miałem okazji poznać go osobiście. Zmarł ponad 20 lat przed moim urodzeniem.

O JANIE WILANDZIE – OJCU BRONISŁAWA ORAZ O PRZENOSINACH RODZINY WILANDÓW Z KURZYJAMY I BOGUSZEK DO LUBOŃKA

Przenieśmy się w tej podróży w czasie o jedno pokolenie wstecz, czyli do losów mojego pradziadka Jana Wilanda (1835–1897), ojca Bronisława. Usilne genealogiczne poszukiwania prowadzone przez moich rodziców zaprowadziły ich w 1988 roku do Rdutowa. Tam, dzięki uprzejmości proboszcza tej parafii księdza Ludwika Józwicka, mogli zagłębić się w księgi urodzeń i ślubów sięgające co najmniej początków XIX wieku. Wejźdźmy w ten jakże cudowny i nieco już zapomniany język urzędowych dokumentów z tamtych czasów.

Pod datą roczną 1829 na pozycji 9-tej w księdze zaślubin widnieje następujący wpis:

Działo się to w Rduowie dnia 25.2.1829 r. o godz. 12.00 w południe. Wiadomo czynimy, że w przytomności świadków M... (trudne do odczytania) Cieślińskiego, pisarza Sądu Pokoju, dziedzica części wsi ...Suchodół ... zamieszkałego, lat 43 ma-



Bronisław Wiland (18-letni) – 1892 r.

jącego i Jana Morzyckiego kapitana Wojsk Polskich, dziedzica wsi Boguszek we wsi Chociszewie obwodzie łączycykim zamieszkałego, lat 40 mającego, na dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo między Stanisławem Wiland, ekonomem w Komorowie, par. Izbickiej, młodzieńcem urodz. z rodziców Józefa Wiland i Antoniny z Mimurzewskich małżonków w Kurzyjanie zamieszkałych, lat 23 mającym a panną Teofilą Roguską, córką Wojciecha i Petroneli z Morzyckich Roguskiej w Boguszkach zamieszkałych, lat 19, w Rudnikach zrodzoną i przy rodzicach zamieszkałą. Małżeństwo to poprzedziły 3 przedślubne zapowiedzi: 1, 8 i 15 lutego 1829 r. w par. Rdurowskiej i Izbickiej jako też za zezwoleniem

ustnym obecnych aktowi małżeństwa rodziców obecnej żony nastąpiło...

*Podpisy: ks. Michał Jabłoński, proboszcz Rdurowski
Stanisław Wiland, Jan Wiland (brat Stanisława – przyp. aut.)
M(...) Cieśliński, Jan Morzycki*

Dzień ślubu w roku 1829 przypadał wprawdzie w środę, ale następnego dnia obchodzono Tłusty Czwartek, stąd wesele mogło trwać jeszcze dobrych kilka dni.

Po ślubie oboje państwo młodzi zamieszkali w Boguszkach, aczkolwiek Stanisław był jedynie dzierżawcą u swoich teściów. Właścicielem został dopiero w kilkanaście lat po ślubie z Teofilą, w roku 1841. Mieli dziewięcioro dzieci, z których czworo zmarło w dzieciństwie.

W księdze urodzin i chrztów parafii rdurowskiej można odczytać pod datą roczną 1835 na pozycji 69, iż:

Działo się to w Rdurowie dn. 22.12.1835 r. o godzinie 10-ej przed południem stawił się Stanisław Wiland possesor (dzierżawca) Boguszek lat 30 mający w obecności Piotra Karwowskiego, dziedzica z Rządkowa lat 35 i Wincentego Czekalskiego kościelnego z Rdurowa lat 35 mających okazał nam dziecię płci męskiej urodzone w Boguszkach dn.14.10.1835 r. z małżonki Teofili z Roguskich lat 23 mającej. Dziecięciu temu na Chrzcie Świętym odbytym w dniu dzisiejszym nadane zostały imiona Jan Kalikst a jego chrzestnymi byli Piotr Karwowski i Eleonora Kopowecka.

Tak oto w annałach parafii Rdurow odnotowano przyjście na świat mojego pradziadka Jana, drugiego z synów Stanisława i Teofili Wilandów.

Minęło niemal ćwierć wieku – i na ślubnym kobiercu stanął w roku 1859 tenże Jan. Wybranką jego serca została młodsza od niego o 6 lat Konstancja Łęcka, koń-

cząca wtedy osiemnaście wiosen. Mieszkała w Chruścionku koło Kutna. Zaślubiny, zgodnie ze starym zwyczajem, odbywały się w parafii panny młodej, stąd w aktach parafii Rdutów nie ma świadectwa tego ślubu.

Młodzi zamieszkali w Boguszkach w pobliżu Rdutowa, które obejmowały 70-hektarowe gospodarstwo, będące w posiadaniu rodziców Jana, czyli Stanisława i Teofili. Przez siedem lat małżeństwa urodziła im się trójka dzieci, z których pierworodne zmarło po 3 latach. Podczas trzeciej ciąży Konstancja czuła się coraz gorzej i dlatego przeniosła się do domu swojego ojca, Wojciecha Łęckiego, w Chruścionku. Niestety, w kilka tygodni po urodzeniu córki, której dano imię Antonina, położnica zmarła. Było to w roku 1866.

W księdze zgonów parafii Grochów – Chruścionek na poz. 14 wymienionego roku wpisano, iż:

Działo się to we wsi Grochowice dnia 23.7.1866 r. o godz. 8 rano. Stawili się Walenty Ziółkowski ogrodnik lat 45 i Józef Zapalowski karczmarz lat 46 liczący obadwaj ze wsi Chruścionka i oświadczyli, że dnia 21.7 bieżącego roku o godzinie 1-ej po północy umarła Konstancja Wiland, obywatelka lat dwadzieścia sześć licząca, urodzona we wsi Łanietek, córka małżonków Wojciecha Łęckiego, dziedzica wsi Chruścionka i Marianny z Koprowskich już zmarłej, zostawiwszy po sobie owdowiałego męża, Jana Wilanda, obywatela we wsi Boguszki zamieszkałego. Akt ten stawiającym przeczytany został podpisany przez nas, stawiający się zaś pisać nie umieją... (dalej nieczytelne)”.

Mój pradziadek przez kilka lat musiał zadbać o opiekę i wychowanie swoich małych dzieci, Józefa i Antoniny. Do tego dochodziły kłopoty materialne, które starał się łagodzić żyjący ojciec Konstancji – Wojciech Łęcki.

Prawdopodobnie około 1873 roku owdowiały Jan ożenił się po raz drugi – z młodszą od siebie o 20 lat 18-letnią Bronisławą Pniewską. Panna młoda mieszkała pomiędzy Izbicą Kujawską a Przedczem. Dzięki materialnej pomocy rodziny młodej żony Jan Wiland stał się właścicielem Lubońka. Młodzi małżonkowie wraz z dwojgiem dzieci Jana Wilanda z jego pierwszego związku przenieśli się do tamtejszego dworu.

Dwór znajdował się 10 kilometrów od Kłodawy. W XVI wieku wieś należała do Stanisława Lubońskiego herbu Leszczyc. W pierwszej połowie XIX wieku do folwarku przynależały wsie Luboniek, Witów oraz Luboniek Kolonia, ale bez sąsiedniego Lubońka Holendry. Folwark zajmował wtedy 544 morgi, czyli około 304 hektarów. Nie jest mi wiadome, od kogo Jan Wiland kupił ten majątek. W każdym razie z chwilą nabycia Lubońka znacznie mniejszy pod względem powierzchni majątek Boguszki zszedł na dalszy plan i był traktowany przede wszystkim jako miejsce zamieszkania rodziców, ale bez perspektyw rozwoju. Kiedy w 1876 roku umarł Stanisław Wiland, a w 7 lat później jego żona Teofila, Boguszki zostały wystawione na licytację. Ostatecznie sprzedano je właścicielom dwóch sąsiednich majątków, Turzynowa oraz Domanikowa, którzy rozebrali budynki nabytego majątku. I tak oto Boguszki przestały istnieć.

DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ BRONISŁAWA

Rok po ślubie Jana i Bronisławy przyszedł na świat ich pierworodny syn. Z notatek poczynionych przez mojego tatę wynika, iż urodził się on 28 października 1874 roku i dano mu imiona Bronisław Teodor. Jego chrzestnymi rodzicami zostali Józef Wiland (aczkolwiek Józef był bratem przyrodnim Bronisława i miał wówczas 12 lat, co może budzić wątpliwości, czy proboszcz wyraził zgodę, aby osoba tak młoda została ojcem chrzestnym – przyp. aut.) oraz Helena Pniewska. Chrzest odbył się w kościele w Bierzwiennie, oddalonej o kilka kilometrów od Lubońka. Działo się to najprawdopodobniej w dniu 24.12.1874 roku. W metryce chrztu jest natomiast wpisana data 4 stycznia 1875 roku. Skąd wynika ta rozbieżność? Otóż w zaborze rosyjskim na terytorium Polski mogły być stosowane jednocześnie dwie rachuby czasu: „nowy” kalendarz gregoriański i „stary” juliański – tak jak na terenie całej Rosji carskiej, a różnica dat wynosiła w tamtych latach 12 dni.

Chrzcziny małego Bronisława w okresie Bożego Narodzenia mogły stać się okazją do spotkania w szerszym gronie rodzinnym.

W miarę upływu lat Bronisławowi przybywało braci i sióstr. Wszyscy oni byli urodzeni w domu w Lubońku, który stał się przez to prawdziwym, choć coraz bardziej przyciasnym gniazdem rodzinnym. W roku 1876 przyszedł na świat chłopiec, któremu nadano imię Jan, ale który zmarł we wczesnym dzieciństwie. Kolejnym dzieckiem był także chłopiec (ur. 24.04.1878), któremu na chrzcie nadano imię Władysław. W rok później urodził się kolejny syn, Stefan, który w przyszłości będzie administrował różnymi majątkami (w tym również pobliskimi Krzykosami, gdzie mieszkała rodzina Grudzińskich), aby wreszcie objąć własny majątek w Lijewie.

Do czterech razy sztuka. Tak jak w latach siedemdziesiątych XIX wieku – niczym na komendę przychodzili na świat wyłącznie synowie, tak w latach 80-tych nadeszła kolej na córki. W roku 1881 urodziła się Janina, która niestety zmarła jako małe dziecko. W dzień Nowego Roku 1883 przyszła na świat córka Zofia, zaś 3 marca 1885 roku urodziła się Stanisława Wiland.

Z sześciorga rodzeństwa miałem okazję poznać osobiście Stefana i Sta-



Bronisław Wiland

Fot. ze zbiorów Nikodema Sobczyńskiego

niślawę, których odwiedzałem z moimi rodzicami w latach 60-tych XX wieku w jedynym pozostałym w okolicy dawnym majątku w Lijewie. Dwór i ziemia ostały się w rękach Stefana po radykalnej reformie rolnej z 1945 roku.

Wróćmy jednak do młodego Bronisława. W domu robiło się coraz ciasniej, a szły nowe czasy. Nie można było zarządzać rozległym majątkiem, jeśli nie posiadało się odpowiedniej wiedzy. Mając to na względzie – Jan z Bronisławą zadbali, aby ich najstarsi synowie mogli poświęcić się studiom rolniczym.

OKRES STUDIÓW BRONISŁAWA W PUŁAWACH

Zdjęcie podpisane ręką mojego taty „Bronisław Wiland, 18 lat” wykonane zostało przez zakład B. Szejnerta we Włocławku. Twarz pozującego wygląda poważnie; w roku 1892, kiedy fotografia została zrobiona, Bronisław został już prawdopodobnie przyjęty do Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach (w czasach zaboru rosyjskiego zwanych Nową Aleksandrią).

Gdy rozpoczął tam studia, Instytut przechodził gruntowne zmiany. Po reformie szkolnej z 1892 roku otrzymał status uczelni wyższej i jego rangę zrównano z uniwersytecką. Spowodowało to między innymi wydłużenie czasu studiów do 4 lat. Siedzibą Instytutu był dawny pałac Czartoryskich, skonfiskowany po upadku powstania listopadowego. Zamiarem twórców tej placówki było wykorzenienie śladów polskości u uczniów. Językiem wykładowym został język rosyjski, zaś kadra polskich nauczycieli była stopniowo zastępowana przez profesorów rosyjskich. Przez czas swego istnienia – od 1869 do 1914 roku – uczelnia wypuściła ponad 2100 absolwentów. Średnio szkołę opuszczało rocznie od 40 do 50 agronomów – zarówno polskich jak i rosyjskich. W latach 70-tych XIX stulecia wśród studentów znaleźli się zarówno Bolesław Prus, jak i Ludwik Waryński, którzy co prawda długo nie zagrzali tam miejsca. Ten ostatni trafił do szkoły, chroniąc się przed poborem do wojska carskiego. Później wolał podjąć działalność rewolucyjną niż kontynuować karierę agronoma.

Poziom nauczania w Instytucie był wysoki. W okresie studiów Bronisława funkcję dyrektora pełnił profesor Wasilij Dokuczajew (1892–1895). Jako zasłużony geolog stworzył w Nowej Aleksandrii pierwszą katedrę gleboznawstwa. Był też autorem pierwszej naukowej definicji gleby oraz klasyfikacji rodzajów gleb.

Sporo tej wiedzy wyniósł z jego wykładów Bronisław, wykorzystując ją, gdy kilkanaście lat później prowadził własną rubrykę prasową w dziale *Gospodarstwo* w „Gazecie Świątecznej”. Przykładowo: odpowiadając na pytania dotyczące rdestu, wyjaśnia, iż chwast ten rośnie na ziemiach piaszczysto-próchnicznych czy piaszczystych wilgotnawych.

Młodszy od Bronisława o 4 lata jego brat Władysław również studiował w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Biorąc pod uwagę różnice wieku, zaczął naukę już po zakończeniu edukacji przez Bronisława.



Stefania Grudzińska

Za nauką musiała przyjść praktyka. Bronisław po ukończeniu studiów, aby lepiej przygotować się do czekających go w przyszłości zadań w rodzinnym majątku, rozpoczął praktykę rolniczą we wzorowo prowadzonych wielkich dobrach Krasne w okolicach Ciechanowa.

PIERWSZE LATA GOSPODAROWANIA W LUBOŃKU

W listopadzie 1897 roku Bronisław otrzymał z domu smutną wiadomość. Jego ojciec, Jan Wiland, zmarł w wieku 61 lat. Z danych urzędowych można wnioskować, że Bronisława nie było przy śmierci ojca, zaś świadectwo zgonu potwierdził Józef Wiland, syn zmarłego z pierwszego małżeństwa.

Sięgnijmy po raz kolejny do aktu zgonu wystawionego w dniu 5.11.1897 roku w urzędowym wtedy języku rosyjskim w Bierzwiennie Długiej. Wpis brzmiał następująco (cytuję zgodnie z zapiskami mojego ojca Michała):

Zgłosili się Wacław Wolamin wiek 32 lat i Józef Wiland, wiek 33 lat mieszkający w Lubońku, że 3 listopada b.r. o godzinie 1 po południu umarł w Lubońku Jan Wiland, 61 lat od urodzenia, właściciel majątku Luboniek, syn Stanisława i Teofili urodzonej Roguskiej, współmałżonki urodzonej w Lubońku. Zostawił żonę Bronisławę Wiland, urodzoną Pniewską.

Proboszcz Walenty Kalicki

Jan Wiland został pochowany na cmentarzu w Bierzwiennie w rodzinnym grobowcu, w którym zostaną później złożeni inni członkowie rodziny Wilandów. Bronisław musiał od razu wskoczyć do



Stefania, Leonia i Zygmunt Grudzińscy

głębokiej wody i skonfrontować swoją wiedzę z praktyką. Stał się głową rodziny i był zmuszony zatroszczyć się o losy swojego rodzeństwa.

Władysław nadal studiował w Instytucie w Puławach, a po ukończeniu nauki rozpoczął pracę w firmie nasiennej Konstantego Buszczyńskiego. Najmłodszy brat, Stefan, zdobywał umiejętności rolnicze pracując w wielu majątkach w charakterze rządcy lub administratora. Siostra Zofia na parę lat przed I wojną światową poślubiła we Lwowie nauczyciela Jana Konteka. Najmłodsza siostra Stanisława nie wyszła za mąż i do końca życia swej matki Bronisławy starała się jej towarzyszyć, mieszkając z nią w Lubońku, a w późniejszych latach w Warszawie. Tam też udzielała lekcji muzyki i opiekowała się synami Bronisława, uczęszczającymi do warszawskich szkół.

ACH, CO TO BYŁ ZA ŚLUB

Kilka kilometrów na południe od Lubońka znajdował się majątek Krzykosy. Na początku XX wieku został on zakupiony przez rodzinę Grudzińskich. W domu tym zamieszkało małżeństwo Michała Grudzińskiego i Adaminy z Brochockich, przebywały tam też ich dwie córki: Stefania i Leonia. Trzej dorośli synowie tego małżeństwa – lekarz Zygmunt oraz dwaj inżynierowie: Aleksander i Władysław – zjawiali się w Krzykosach tylko przy różnego rodzaju okazjach, by odwiedzić rodziców. Żaden z członków tej rodziny nie był rolnikiem i dlatego prowadzeniem gospodarstwa zajmowali się kuzyni z rodziny Brochockich lub zakontraktowani rządcy.

Bronisław Wiland nieraz zapewne odwiedzał swoich nowych sąsiadów. Zwrócił szczególną uwagę na córkę gospodarzy, Stefanię Grudzińską, osobę zbliżoną do niego wiekiem. Nie zachowała się korespondencja między nimi, bo mieszkali tak niedaleko siebie, że łatwiej im było spotkać się osobiście niż pisywać do siebie listy przez pocztę w Kłodawie. Zachowały się za to liczne zdjęcia panny na tle domu czy ogrodu w Krzykosach. Fotografika była pasją jej brata Zygmunta Grudzińskiego, który często przyjeżdżał do Krzykos z aparatem fotograficznym. Prosił wtedy obie swoje siostry o pozowanie do zdjęć. Panny czyniły to chętnie, gdyż mogły przy tej okazji włożyć swoje nowe suknie wizytowe lub spacerowe.

Według relacji mojej mamy Barbary z domu Cygańskich, jej rodzina знаła się z członkami rodu Grudzińskich kilkadziesiąt lat wcześniej, zanim poznali się moi rodzice. Otóż Michał Grudziński, właściciel Krzykos, mieszkał uprzednio w Warszawie. Pracował tam jako nauczyciel w szkole średniej. Posiadał duże mieszkanie w centrum miasta i z tej przyczyny mógł tam dodatkowo prowadzić stancję. Pokój u niego wynajął Wacław Cygański, starszy brat mojego dziadka Stanisława. Ten odwiedzał go na stacji, jako że również uczył się w Warszawie. Dobrze zapamiętała to córka gospodarzy, Leonia Grudzińska. Przy okazji którejś z wizyt Stanisław poznał jej siostrę, a moją babcię ze strony ojca, Stefanię. Opisywał ją po latach jako ładną, szczupłą dziewczynę o wesołym usposobieniu. W pamięci utkwiał mu fakt, iż



Ślub Stefanii Grudzińskiej i Bronisława Wilanda – 1908 r. Bronisław Wiland stoi trzymając za rękę swoją żonę. Obok niego po prawej stronie w trzecim rzędzie uśmiechnięty Zygmunt Grudziński, który być może zaaranżował ustawienie wszystkich osób ze swej rodziny w kadrze aparatu a następnie dobiegł do grupy, aby jeszcze znaleźć się na zdjęciu.



Wilandowie i Grudzińscy – 1910 r. Bronisław stoi pod drzewem, poniżej Stefania Wiland, obok Władysław. Obok Stefanii siedzą rodzice: Michał i Adamina Grudzińscy, z lewej stoi Aleksander Grudziński. Za nim: Zygmunt Grudziński i Leonia Grudzińska.

Stefcia wróciła właśnie z wyprawy do miasta, gdzie odwiedziła ogród zoologiczny. Pełna wrażeń dziewczyna opowiadała o zabawnym zachowaniu i wyglądzie zwierząt, w szczególności pawianów.

Na koniec przyszła chwila, gdy Bronisław zadał Stefanii zasadnicze pytanie: czy zechce zostać jego żoną. Odpowiedziała mu – tak.

Ich ślub stał się wielkim wydarzeniem w życiu obu rodzin państwa młodych. To był dla nich pierwszy ślub w tym pokoleniu. W dzienniku warszawskim „Słowo”, którego redaktorem naczelnym był przez pewien czas Henryk Sienkiewicz i gdzie w odcinkach publikowano jego „Trylogię”, ukazała się dnia 24.02.1908 roku krótka notatka w rubryce *Osobiste*:

...Również w dniu wczorajszym wieczorem, o tejże porze (czyli 6 ½ wieczorem), w kościółku „Przytuliska” przy ulicy Wilczej, odbył się ślub p. Bronisława Wilanda, właściciela dóbr Luboniek, syna ś.p. Jana i Bronisławy z Pniewskich, z panną Stefanią Grudzińską, córką Michała i Adaminy z Brochockich, właścicieli dóbr ziemskich Krzykosy w powiecie kolskim....

Można zachodzić w głowę, dlaczego ślub odbył się w niedzielę dnia 23.02.1908 roku? Przeglądając książkę autorstwa Grażyny Niewiarowskiej i Małgorzaty Grzanki „Obrazki z dawnej Kłodawy” (Konin–Kłodawa 2021) zwróciłem uwagę na rozdział opisujący rodzinę Zaborowskich. Jest tam wzmianka o balu w Warszawie, który miał miejsce 22 lutego 1908 roku. Odbywał się na rzecz Towarzystwa Opieki nad Dziećmi z przeznaczeniem na prowadzenie ochronek, zaś obowiązki gospodyń pełniły na nim panie związane z „Przytuliskiem”. Z tym środowiskiem mogła być związana Stefania Grudzińska, a wtedy zapewne została by zaproszona na bal. (Zresztą Walentyna Zaborowska wzięła ślub niespełna dwa lata później w tej samej kaplicy „Przytuliska”, co Bronisław i Stefania.)

Młodzi przysięgali przed ołtarzem drewnianej kaplicy w Warszawie przy ulicy Wilczej 7. Pod tym adresem, na terenie parafii św. Aleksandra, do dnia dzisiejszego znajduje się kaplica Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Przed ponad 150 laty – w roku 1870 – na terenie zakładu „Przytulisko” wybudowano i poświęcono drewnianą kaplicę. W dwadzieścia lat później umieszczono w niej obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy, który został poświęcony przez papieża Leona XIII i przywieziony z Rzymu przez Katarzynę Gruszczyńską, założycielkę Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących.

„Przytulisko” było instytucją znaną w tych czasach w Warszawie. Zajmowano się w nim – zapewniając nocleg i wyżywienie – kobietami opuszczonymi, znajdującymi się w złych warunkach materialnych lub wychodzącymi ze szpitala i potrzebującymi opieki, póki nie znajdą lepszych warunków egzystencji. Członkami zarządu tej instytucji były z reguły osoby z kręgu arystokracji. Aby mieć fundusze na działalność „Przytuliska” organizowano często bale charytatywne lub koncerty. Natomiast kaplica mogła być wykorzystywana jako miejsce uroczystości religijnych (jak choćby śluby) przez osoby, które prowadziły działalność charytatywną albo pełniły obowiązki gospodyń balów charytatywnych. Stąd datę ślubu trzeba było najpewniej dopasować do organizowanego balu charytatywnego.



Kartka od Stefanii Wilandowej – awers – rewers



Wybrałem się tam niedawno pewnej wrześnieowej niedzieli, aby odetchnąć atmosferą miejsca, gdzie moi dziadkowie połączyli się kiedyś węzłem małżeńskim. W kilka lat po ślubie Bronisława i Stefanii wybudowano większą, murowaną kaplicę, która zachowała się do dnia dzisiejszego. Z czasów ich ślubu ostał się obraz Matki Bożej, przechowywany w bocznej kaplicy.

Dzień ślubu przypadał w niedzielę i zapewne tego właśnie dnia wykonano zdjęcie większości uczestników rodzinnego spotkania, cementującego dwa rody. Uśmiechnięty pan młody w binoklach, z wąsami fantazyjnie zakręconymi do góry, trzyma czule za rękę nowo poślubioną małżonkę. Ona sama wyglądem ma bardzo poważny, ale może po prostu jest już zmęczona uroczystością. Obok Bronisława, po prawej stronie, usiadła jego matka Bronisława w towarzystwie swej córki Stasi. Po lewej stronie panny młodej siedzą jej rodzice, a tuż nad nimi, nieco pochylony, stoi Zygmunt Grudziński, który tym razem znajduje się po drugiej stronie obiektywu. Na zdjęciu nie zabrakło nikogo z braci i siostr zarówno Bronisława jak i Stefanii. Wszyscy są jeszcze stanu wolnego. Następnym ślubem w rodzinie Wilandów zdarzy się trzy lata później, kiedy to Zosia Wilandówna wyjdzie za mąż – również w Warszawie – za Jana Konteka. Ich córka Hania, już po drugiej wojnie światowej, zamieszka we Wrocławiu i będzie częstym gościem w naszym rodzinnym domu.

CZASY WIELKIEJ WOJNY I ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W rok po ślubie, czyli w roku 1909, Bronisławowi i Stefanii urodziła się córka Maria, która zmarła jako dwumiesięczne niemowlę. Pochowana została na cmentarzu w Bierzwiennie obok swego dziadka Jana. W latach 1911 i 1913 urodzili się kolejno dwaj chłopcy – Janek i Michał, którzy dostali imiona po swych dziadkach ze strony ojca i matki. Dziadek Michał Grudziński zmarł na krótko przed urodzeniem się swego wnuka-imiennika, a mojego taty. Małżonkowie często odwiedzali Krzykosy, gdzie nieraz pojawiał się brat Stefanii, Zygmunt, i z tej przyczyny zachowały się zdjęcia z ich wspólnych spotkań. Stefania znajdowała również czas na korespondencję. Z tych czasów zachowała się kartka pocztowa wysłana z okazji imienin do niejakiej panny Haliny. Zawiera życzenia złożone w imieniu nadawczyni i jej męża 30 maja 1912 roku w Lubońku, jest zaś opieczętowana w Kłodawie 21 maja tegoż roku, ale wg kalendarza julijskiego, jaki obowiązywał w rosyjskich urzędach.

Zbliżały się czasy, w których długi dziewiętnasty wiek miał się zderzyć z okrutną pierwszą połową dwudziestego wieku. Wybuchła wojna. Po zamordowaniu w Sarajewie austriackiego następcy tronu ogłoszono w Rosji, naturalnej sojuszniczce Serbii, mobilizację. To z kolei spowodowało, iż 1 sierpnia 1914 roku Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Już w pierwszych dniach sierpnia działania wojenne objęły ziemie polskie. Dnia 2 sierpnia Rosjanie opuścili Kalisz. Wojska niemieckie wkroczyły do tego miasta, wprowadzając represje w stosunku do cywilnych mieszkańców. Incydental-



W Krzykosach – 1913 r. Bronisław siedzi na murku, przy nim syn, Janek Wiland w kapeluszu, za nim Stefania Grudzińska.



Luboniek – początek XX w.

ne strzelaniny spowodowały bardzo ostrą reakcję ze strony żołnierzy niemieckich – włącznie z ostrzelaniem miasta, bombardowaniem, rozstrzelaniem cywilów i burzeniem Kalisza. Tę tragedię opisała Maria Dąbrowska w powieści „Noce i dnie”, ukrywając rzeczywiste miasto pod fikcyjną nazwą Kalińca. Kontynuacja ofensywy niemieckiej na wschód nie zapowiadała nic dobrego dla mieszkańców dawnej guberni kaliskiej, w skład której wchodziła Kłodawa i jej okolice. W listopadzie 1914 roku Kłodawa została zajęta, a armię rosyjską zepchnięto na linię rzek Bzura-Pilica. Kontakty Bronisława i Stefanii z rodziną mieszkającą w Warszawie zostały przerwane. Wiosną 1915 roku nastąpiła ofensywa niemiecko-austriacka na froncie wschodnim i 5 sierpnia kawaleria niemiecka wkroczyła do Warszawy. Wojska rosyjskie i ludność cywilną – w ramach tzw. bieżęstwa – ewakuowano w głąb Rosji.

Mój ojciec Michał był wtedy kilkuletnim chłopcem, ale zapamiętał niektóre epizody z końca pierwszej wojny światowej. Na drodze przebiegającej przez Luboniek widział w latach 1917–1918 niemieckie oddziały wojskowe. 8 listopada 1918 roku członkowie kłodawskiej sekcji otoczyli niemiecką placówkę na poczcie i po krótkiej wymianie ognia Niemcy wycofali się z miasta i okolic. Choć już ich nie było – o pokoju można było jedynie marzyć. Nadal drogą przez Luboniek przejeżdżały samochody ciężarowe, głównie z polskim zaopatrzeniem wojskowym. Oświetlone lampami acetylenowymi, często biwakowały nocami na podwórzu majątku. Przebiegający przez Luboniek trakt z Kłodawy w kierunku Sompolna był wtedy drogą gruntową, piaszczystą i wyboistą. Nawierzchnię szosową ułożono dopiero w parę lat później na około 10-kilometrowym odcinku od Kłodawy, a po następnych paru latach przedłużono ją w kierunku Sompolna.

Luboniek nie miał też jeszcze elektryczności, wodociągu i kanalizacji. Wodę do picia i innych celów przynoszono do dworu wiadrami ze studni znajdującej się w narożniku ogrodu, przy łące. Prócz tego w środku podwórza była studnia z żurawiem, wykorzystywana dla potrzeb inwentarskich. Do oświetlania używano lamp naftowych i świec. W końcu pierwszej wojny światowej i wkrótce po niej, gdy były trudności z zaopatrzeniem w naftę, używano także lamp oliwnych, które dawały bardzo słabe światło.

Natomiast stosunkowo wcześniej, bo chyba w roku 1919, dwór w Lubońku uzyskał linię telefoniczną. Aparat telefoniczny został powieszony w przedpokoju i połączony z centralą w Kłodawie za pomocą kabli zamocowanych na słupach ustawionych wzdłuż drogi. Podobne telefony zainstalowały też sąsiednie majątki.

Mój tata zapamiętał, iż w pierwszych miesiącach niepodległości przychodziły do właściciela majątku Luboniek liczne osoby. Długo trwały wspólne rozmowy z nimi. Ważnym zapamiętanym wydarzeniem były wybory do Sejmu w styczniu 1919 roku, gdy dwór w Lubońku został lokalem wyborczym. W tym czasie mój tata miał już 6 lat i wraz ze starszym od siebie bratem Jankiem potrafili czytać, choć jeszcze niezbyt biegle. Ich ojciec Bronisław wyjaśniał im wydarzenia opisywane w gazetach. W tym czasie na wschodzie polskie wojska toczyły walki z bolszewikami. W jednym z pokoi wisiała na ścianie duża mapa, na której można było znaleźć miejscowości opisywane w gazetach. Młody Michał zapamiętał, jak w pierwszej połowie 1919 roku przyszły

pomyślne wiadomości o zdobyciu Wilna, Lidy i Nowogródka. Rok później cieszyły całą rodzinę wiadomości o zwycięstwach polskich wojsk na Ukrainie i o zajęciu Kijowa.

Dnia 20 kwietnia 1920 roku urodził się najmłodszy syn, któremu nadano imię Stanisław. Radość była wielka, gdyż Stefania miała w chwili urodzenia syna już niemal 45 lat.

Tymczasem nadchodziły złe wieści ze wschodu. Wojska bolszewickie posuwały się szybko w kierunku Warszawy. Ludność zaczęła się organizować, aby nowo odrodzona Polska nie wpadła ponownie w ręce zaborcy. Dnia 14 lipca 1920 roku powstał w Kole lokalny Obywatelski Komitet Obrony Państwa. Do Rady Powiatowej Komitetu zostali m.in. powołani – jako reprezentujący Kłodawę – Bronisław Wiland, delegat Kółek Rolniczych, jego sąsiad Zygmunt Kokczyński, właściciel majątku w Bierzwiennie Krótkiej, oraz Leonia Grudzińska, szwagierka Bronisława i siostra Stefanii. Zaczęto organizować zbiorki pieniędzy oraz kosztowności z przeznaczeniem na sfinansowanie umundurowania ochotników zgłaszających się do wojska.

W tym czasie rządcą w Lubońku był pan Suski, który pomagał Bronisławowi w prowadzeniu majątku. Gdy wojska bolszewickie zaczęły zbliżać się do Warszawy i ogłoszono zaciąg ochotniczy do wojska, pan Suski wyjechał z Lubońka, aby walczyć, a po odpędzeniu bolszewików na wschód, powrócił.

Mój tata wspominał, iż w jednym z letnich miesięcy 1920 roku, gdy przebywali w sypialni rodziców, gdzie w dziecinnym wózku leżał Stach, podczas przechodzącej burzy z piorunami rozległ się nagle krótki, głośny huk. Przed oknem sypialni, gdzie przebiegały druty telefoniczne doprowadzone do domu, mignęła wielka ognista kula. Ludzie, którzy obserwowali to zjawisko z zewnątrz, mówili, że piorun uderzył w jeden z pobliskich słupów i biegł błyskawicznie po przewodach, docierając do dworu. Na szczęście nikomu z domowników nic się nie stało, jedynie w instalacji telefonicznej wystąpiła niewielka usterka, łatwa do usunięcia.

Przed końcem pierwszej wojny światowej i bezpośrednio po niej dwór w Lubońku był pełen mieszkańców. Przed wszystkim zamieszkiwali w nim Bronisław z małżonką oraz trójką dzieci. Mieli tam również swoje pokoje gospodyni Anna Wrześniewska i jej brat, pełniący funkcję tzw. pisarza, którego po pewnym czasie zastąpił rządcą Suski, zajmujący na piętrze pokój z widokiem na podwórze. Natomiast pani Anna Wrześniewska zajmowała mały pokój z wejściem z przedsionka, obok schodów na piętro. Prócz tego w budynku kuchni, w jednej z izb, mieszkały pokojówka i kucharka.

Niedługo po roku 1920 stanowisko pana Suskiego objął pan Józef Cyrułowski, a miejsce pani Anny Wrześniewskiej zajęła jej siostra Maria. Po kilku latach pracy tych dwoje pobrało się, a po kilku kolejnych latach zakupili działkę w Kłodawie na skraju miasta i postawili na niej dom. Początkowo zamieszkiwała w nim jedynie pani Maria, podczas gdy jej mąż pracował jeszcze przez pewien czas jako rządcą w Lubońku.



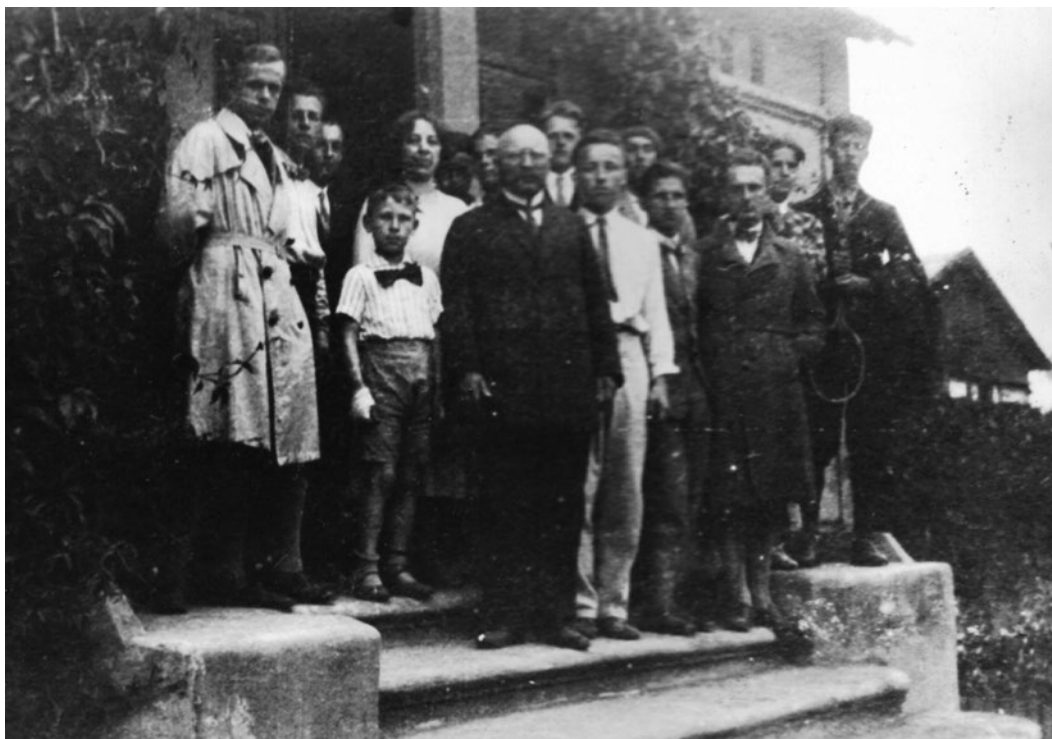
Spotkanie w salonie w Lubońku z okazji ukończenia gimnazjum przez Janka Wilanda. – 1929 r.
W głębi, u szczytu stołu: Stefania i Bronisław Wilandowie.

DWÓR W LUBOŃKU

Po roku 1945 stan dworu i jego otoczenia uległ znacznym modyfikacjom, stąd warto bliżej opisać, jak się przedstawiał za życia Bronisława. Mogę w tym miejscu skorzystać ze szczegółowego opisu, jakiego dokonał z pamięci mój tata (rycina nr 1 – rozkład pokoi we dworze, rycina nr 2 – orientacyjny plan dworu w Lubońku z ogrodem i podwórzem).

Z głównej drogi przechodzącej przez Luboniek wjeżdżało się do dworu przez krótką aleję parkową, obsadzoną drzewami orzechowymi i zakończoną okrągłym klombem kwiatowym. Do wnętrza dworu wchodziło się po schodach ganku przez wysuniętą ku wjazdowi sień, z niej zaś do obszernego przedpokoju, w którym zostawiano wierzchnie okrycia.

Po lewej stronie przedpokoju mieścił się tzw. gabinet, a za nim pokój sypialny dla gości, zaś po prawej – sypialnia właścicieli dworu, a za nią mały pokój dla starszych dzieci. Drzwiami na wprost wchodziło się z przedpokoju do dużego pokoju stołowego, z którego było wyjście do pomieszczeń sąsiadującym z nim po obu stronach oraz przez obszerną werandę na zewnątrz do ogrodu,



Spotkanie kolegów Janka w Lubońku – 1929 r.

Po lewej stronie pokoju stołowego znajdował się tzw. salon, w którym stało m.in. pianino, a dalej jeszcze jeden pokój zwany „graciarnią”, używany jako przechowalnia owoców i różnego rodzaju artykułów żywnościowych, czyli spełniający rolę podręcznej spiżarni.

Po prawej stronie pokoju stołowego znajdował się tzw. kredens, z przejściem do głównej sypialni oraz do przedsionka łączącego się z korytarzem prowadzącym do kuchni. Kredens służył do różnych celów gospodarczych.

Z przedsionka natomiast można było przejść do dwóch pokoi przeznaczonych dla personelu pomocniczego oraz do schodów na pierwsze piętro, na którym obok pomieszczeń strychowych znajdowały się również dwa pokoje mieszkalne. Pokoje te i pomieszczenia kuchenne były skromnie wyposażone i wykończone.

Do kąpieli członków rodziny używano owalnego cebrzyku drewnianego. Ustawiany on był w pokoju gospodarczym (czyli kredensie), do którego przynoszono z kuchni podgrzaną wodę. Kuchnia znajdowała się w przybudówce połączonej z dworem długim korytarzem. Były tam wejścia do dwóch spiżarni, ubikacji i zejście schodami do piwnicy, a z drugiej strony – wyjście na zewnątrz.

W budynku kuchni były trzy dodatkowe izby, wykorzystywane jako sypialnia dla służby, pralnia oraz dla nieprzewidzianych celów gospodarczych. W kuchennym podpiwniczeniu znajdował się podręczny skład opału.



Przed dworkiem w Lubońku – Boże Narodzenie 1930 r. Stoją od lewej: Michał – syn Bronisława, Stefan Wiland – brat Bronisława, Zosia – córka Stefana, Maria – żona Stefana, Stefania Wiland – żona Bronisława, NN, Bronisław Wiland, Janusz Wiland – syn Stefana Wilanda.

Wychodząc na podwórze z wiodącego do kuchni korytarza mijano się umieszczoną po prawej stronie dwukabinową zewnętrzną ubikację, a następnie poprzecznie usytuowany niski, długi budynek. W budynku tym mieściły się chlewnia i drobiarnia z wybiegiem dla ptactwa oraz dwa małe pomieszczenia, jedno dla przerobu mleka, a drugie dla parowania ziemniaków na paszę dla świń.

Po lewej stronie znajdował się podłużnie ustawiony budynek stajni, na końcu którego była wozownia przeznaczona dla takich pojazdów jak bryczki, powozy i sanki. Za stajnię znajdowała się obora dla dworskich krów, a za nią szopa na sprzęt rolniczy.

Od wschodu podwórze zamykała obszerna stodoła z dwoma wjazdami i klepiskami. Na jednym z nich stała napędzana lokomobilą parową duża młockarnia wraz z elewatem do odbioru słomy. Przy stodole stała mała parterowa przybudówka, wykorzystywana jako warsztat ciesielski.

Południową stronę podwórza ograniczała druga stodoła, przy której stał konny maneż do napędu sieczkami. Na przedłużeniu tej stodoły znajdował się magazyn paszowo-narzędziowy oraz piętrowy spichlerz. W tej samej linii, lecz bliżej dworu stał budynek, w którym trzymane były żrebaki i jałowizna, a dalej krowy należące do ordynariuszy. Dojazd z głównej drogi Kłodawa-Sompolno prowadził w narożnik podwórza, między oborą ordynariuszy a chlewnią. Tuż obok, przy głównej drodze, stała kuźnia.

Ogród wokół dworu, początkowo prawie nieogrodzony, z czasem, po wielu staniach pani domu, został otoczony siatką. Taki stan zabudowań folwarcznych nie uległ poważniejszym zmianom aż do wybuchu drugiej wojny światowej, a następnie do przeprowadzonej w 1945 roku parcelacji. Jediną chyba istotną zmianą był zbudowany w końcu lat 20-tych obok kuźni drewniany budynek, przeznaczony na remizę Ochotniczej Straży Pożarnej. Poza tym przebudowano i pokryto nowoczesnym stropem i papowym dachem stajnię, dano nowy słomiany dach na stodole oraz założono nowy strop żelbetowy w zachodniej części dworu. Uruchomiono też łazienkę i kanalizację we dworze.

Z trzech stron budynku dworu rozciągał się ogród (po wschodniej stronie znajdowało się opisane wcześniej podwórze). Część południowa ogrodu, między budynkiem dworu a główną drogą, miała charakter parkowy. Rosły tam drzewa i krzewy ozdobne, a między nimi przebiegały alejki. Otwarte miejsca porośnięte były trawą. Na skraju parku, wydłuż drogi, posadzono topole i krzewy ograniczające ogród. Przy drodze znajdowała się kapliczka, ustawiona frontem do drogi. W parku rosły jesiony zwykłe i płaczące, świerki, modrzewie, kasztany, brzozy oraz drzewa orzechowe. Wzdłuż zachodniego skraju ogrodu biegła długa aleja wysadzana grabami, a miejscami leszczyną.



Bronisław z matką – 1932 r.



Luboniek – 1932 r. Ostatnie spotkanie rodzinne przed śmiercią Bronisława.

Północna część ogrodu miała charakter sadu owocowo-warzywnego. Rosły tam różne gatunki jabłoni, grusz, śliw, wiśni, porzeczek, agrestu, truskawek, poziomek, a także drobne warzywa. Brakowało jedynie czereśni, gdyż te w Lubońku kiepsko owocowały. Ponieważ drzew owocowych było dużo, wynajmowano je sezonowo sadowemu, a do bezpośredniego wykorzystania przez właścicieli majątku wybierano jedynie niektóre z nich.

Jedna z kwater sadu, nieobsadzana drzewami, przeznaczona była na szparagarnię. W środkowej, wolnej od drzew części ogrodu alejki obsadzono rabatkami kwiatowymi. Uzupełnieniem ogrodu owocowo-warzywnego był ogrodzony wąski pas gruntu za budynkiem obory ordynariuszy, wzdłuż jej południowej ściany. Z uwagi na silne nasłonecznienie był on wykorzystywany przede wszystkim na winogrona, brzoskwinie i morele, które tylko tam mogły dojrzeć.

O TYM JAK DWÓCH WILANDÓW MIESZKAŁO W JEDNYM LUBOŃKU

Bronisław Wiland rozwijał swą działalność społeczną na różnych polach. Był więc prezesem powiatowego Oddziału Związku Ziemiaków w Kole, długoletnim członkiem sejmiku powiatowego w Kole, prezesem kółka rolniczego oraz członkiem licznych miejscowych organizacji społecznych i gospodarczych, np. udziałowcem spółdzielczych młynów w Kole i Bierzwiennie lub mleczarni w Lubońku.

Dzięki swojemu wykształceniu i długoletniemu doświadczeniu miał znakomite osiągnięcia w produkcji rolniczej. W związku z tym, kiedy w latach 20-tych podejmowano decyzje o parcelacji gruntów, komisje ziemskie orzekły, aby jego majątek w całości nie podlegał parcelacji. Jego doświadczenie owocowało również regularnymi notami w prasie, zarówno specjalistycznej jak „Gazeta Cukrownicza”, „Gazeta Rolnicza” czy „Gazeta Gospodarska”, jak i ogólnopolskiej „Gazecie Świątecznej”.

Bronisław Wiland został również wybrany prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej w Kłodawie – i to zaocznie.

To ciekawa historia, której szczegóły poznałem czytając relacje ze wspomnień Kazimierza Wilanda (1906–1993). Po ukończeniu przyspieszonego kursu nauczycielskiego w Płocku 19-letni Kazimierz stawiał się 15 grudnia 1924 (lub 1925) roku u szkolnego inspektora w Inowrocławiu. Gdy się przedstawił, inspektor miał rzec:

W terenie naszego powiatu mieszka osoba, która ma to samo nazwisko, znam nawet tego pana osobiście.

Upłynęło kilka miesięcy. Przed wakacjami Kazimierz złożył podanie o przeniesienie do szkoły w miejscowości Wincentów, gdyż pracujący tam jego znajomy zamierzał przenieść się gdzie indziej. Bardzo się zdziwił, gdy zamiast do Wincentowa – otrzymał przeniesienie do Lubońska. Udał się tam pod koniec sierpnia i dowiedział się, iż właścicielem folwarku jest Bronisław Wiland. Być może do przydziału tej lokalizacji przyczynił się inspektor szkolny z Inowrocławia.

W Lubońku Kazimierz został nauczycielem szkoły powszechnej. Niekiedy otrzymywał listy od swojego ojca, mieszkającego w Gostyninie, który miał na imię Bronisław. Najbliższy urząd pocztowy znajdował się w Kłodawie. Dwór miał na poczcie w Kłodawie swoją skrzynkę i codziennie wysyłano tam bryczkę po korespondencję. Gdy więc dziedzic przeglądał listy i na kopercie jednego z nich zauważył swoje imię oraz nazwisko podane jako adres zwrotny, bardzo się tym zainteresował. Posłał swojego rządcę razem z tym listem do Kazimierza, aby rzecz wyjaśnić.

Rządca, który zaprzyjaźnił się z Kazimierzem, relacjonował mu później, iż ... *dziedzic stale o tym mówi, że to musi być jakaś rodzina, tylko on nie wie jaka.*

Kazimierz z kolei był przekonany, że właściciel dworu w Lubońku wie, iż Kazimierz pochodzi z tej gałęzi rodzinnej, z którą jest skłócone pokolenie Jana Wilanda. Z tej przyczyny wszędzie złożył wizyty, ale nie w dworze, aby nie uważano go tam za in-



Bronisław (w środku w kapeluszu) przed werandą w Lubońku – 1932 r. Od lewej: Władysław Wiland – brat Bronisława, Maria Wiland – żona Stefana (brata Bronisława).

Leonia Kunczyńska – siostra żony Bronisława, Bronisława Wiland – matka Bronisława, Bronisław Wiland, Stefania Wiland, Zofia Kontek – siostra Bronisława, Stanisława Wiland – siostra Bronisława, Zosia Wiland – córka Stefana, Stefan Wiland – brat Bronisława, Hania Kontek – córka Zofii Kontek. W dolnym rzędzie: siedzą trzej synowie Bronisława – Janek, Stach, Michał (ojciec autora) oraz Ewa Kontek, córka Zofii Kontek.

truza. Pod tym względem mylił się, gdyż Bronisław nie miał pojęcia o jakichkolwiek niesnaskach rodzinnych, a tym bardziej o koligacjach rodzinnych Kazimierza. Taka oto komedia pomyłek.

Kazimierz podejmował różne miejscowe inicjatywy, w szczególności utworzenia ochotniczej straży pożarnej. W maju 1927 roku wraz z gospodarzem Feliksem Polichnowskim z Rysin i panem Wesołowskim ze wsi Lubońskie Holendry zwołali w tym celu zebranie. Na pierwszym spotkaniu licznie pojawiła się okoliczna młodzież. Na funkcję naczelnika wybrano Kazimierza, a dwóch wymienionych współinicjatorów zostało jego zastępcami. Na prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej (OSP) zebrani zdecydowali się wybrać miejscowego dziedzica Bronisława Wilanda. Nie było go jednak na zebraniu, a też wcale się nie spodziewał tego wyboru. Trzeba było go o tym powiadomić i zapytać, czy wyraża zgodę na przyjęcie funkcji. Tego zadania musiał się podjąć pomysłodawca OSP, czyli Kazimierz Wiland. Oddajmy w tym miejscu głos samemu zainteresowanemu – tak to opisuje we wspomnieniach:

Jednakże nikt nie chciał pójść i oznajmić mu o tem i w końcu ja byłem zmuszony pójść i prosić dziedzica o przyjęcie funkcji prezesa zarządu. Gdy zapoznałem go z czym przychodzi, nie tylko funkcję przyjął, ale dawał konie do każdego pożaru i obiecał

pomagać, ile tylko będzie miał sił. Zwróciliśmy się do niego o pożyczkę 500 złotych na zakup sikawki, no i tę kwotę uzyskaliśmy od dziedzica i zaraz kupiliśmy sikawkę.

Po wielu akcjach gaszenia pożaru, w których używanie sikawki okazało się skuteczne, ludzie z okolicy zaczęli doceniać posiadanie straży. Naczelnik urządzał szereg przedstawień teatralnych, majówek czy loterii fantowych, a z dochodu z tych imprez kupował sprzęt przeciwpożarowy. Około roku 1929 Kazimierz Wiland został przeniesiony do szkoły powszechnej w gminie Brudzew i musiał przekazać swoje naczelnikostwo w ręce innej osoby.

Po kilku latach doszło jeszcze raz do rodzinnego spotkania. Kazimierz tak to wspomina:

W Kole wsiadłem do wagonu wąskotorówki. Wewnątrz były dwie ławy, jedna wzdłuż wagonu z prawej strony, a druga z lewej. Po lewej stronie na środku siedział jakiś człowiek potężnej budowy ciała, kark u niego naprawdę był gruby, jak u mnie noga u nasady. Usiadłem więc też na środku z prawej strony naprzeciw niego i patrzę na niego, ale w górę, a on na mnie, ale z góry. W końcu odezwał się:

- Dokąd Pan jedzie?*
- Do Izbicy do siostry – odpowiedziałem*
- A czym się Pan trudni?*
- Jestem nauczycielem.*
- A gdzie Pan pracuje?*
- W Górkach, a mieszkam na stacji Kłodawa.*
- A gdzie Pan przedtem pracował?*
- W Grabinie, Błennej, Chrząblicach, Lubońku*
- A kiedy Pan pracował w Lubońku?*
- W latach 1925 – 1929*
- No to jest możliwe – mówi.*
- A dlaczego Pan się pyta?*
- Ano, bo ja pochodzę z Lubońka.*
- Wie Pan, ja tam wszystkich znam, ale takiego jak Pan tam nie było.*
- Wie Pan, a ja Panu powiem, kto Pan jest*
- No? pytam*
- Pan jest Wiland.*
- No zgadł Pan, ale skąd Pan o tym wie?*
- A bo widzi Pan i ja jestem Wiland*
- Pan jest Wiland ? Ja jednakże znałem innego Wilanda, a takiego jak Pan tam wcale nie było.*
- Zgadza się, że mnie tam nie było, ale Broniek chyba wspominał Panu o swym bracie Stefanie?*
- Tak.*
- To ja jestem Stefan Wiland.*

To nieoczekiwane spotkanie w wąskotorówce trwało dość długo, bo pociąg nie rozwijał zawrotnej prędkości. Dzięki temu Stefan Wiland opowiedział Kazimierzowi o swoim pobycie w Lubońku, o służbie wojskowej w carskiej artylerii, o swojej ogromnej sile fizycznej oraz o swej córce Zosi, która – jak wspomniał – od 1 września będzie odbywać praktykę w Mchawie, gdyż ukończyła kierunek warzywnictwo w Wyższej Szkole Rolniczej. Na zakończenie kolejowego spotkania Stefan Wiland powiedział:

- *A czy pan wie, jaki jest nasz herb, bo bez wątpienia jesteście kuzynami?*
- *Nie wiem.*
- *To ja panu powiem – Swienczyc.*

Na pożegnanie Stefan zaprosił Kazimierza i jego siostrę do Lijewa, które było jego majątkiem rodzinnym. Kazimierz w rewanżu zaprosił Stefana z rodziną w odwiedziny do siebie. *Pożegnaliśmy się jak najlepsi krewni* – kończy wspomnienia spotkania Kazimierz, – *ja wysiadłem w Izbicy, a on pojechał dalej do Kruszyna*. Niestety, wzajemne odwiedziny nie doszły do skutku. Był rok 1939 i kilka tygodni później wybuchła wojna.

SYNOWIE BRONISŁAWA I STEFANII I ICH EDUKACJA W GIMNAZJUM W WARSZAWIE

Janka (ur. 1911) oraz Michała (ur. 1913) początkowo uczyła w domu ich mama. Po ukończeniu 10 lat musieli jednak być posłani do szkoły. Rodzicom zależało, aby to była możliwie najlepsza szkoła. Dobrą opinią cieszyło się powstałe w 1918 roku państwowe gimnazjum męskie im. Stefana Batorego w Warszawie. W 1921 roku udało się Bronisławowi i Stefanii oddać 10-letniego Janka do 1-ej klasy tego gimnazjum. Nie było to łatwe, bo szkoła, w której opłaty za naukę były znacznie niższe od opłat w szkołach prywatnych, przyjmowała w zasadzie tylko dzieci urzędników państwowych i wojskowych. Bronisław uzgodnił jednak z dyrektorem gimnazjum Zdzisławem Rudzkim, że będzie płacił tyle, co w szkołach prywatnych, a powstała nadwyżka opłat zasili fundusz pomocy dla najbiedniejszych dzieci ze szkoły.

W pierwszym roku nauki w gimnazjum Janek mieszkał na stacji u dalekich kuzynów Stefanii – profesorostwa Sosnowskich, których syn Stanisław chodził do tej samej klasy gimnazjum Batorego. Pani Sosnowska dbała o dobre wychowanie obydwu chłopaków, utrzymując w domu wzorowy porządek i dyscyplinę. W następnym roku szkolnym, po przejściu do drugiej klasy, Janek zamieszkał u swej babci ze strony taty, Bronisławy, która zajmowała mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej 47. Wraz z nią mieszkała tam jej córka Stanisława oraz Antonina z Wilandów Łunkiewiczowa, córka Jana Wilanda z pierwszego małżeństwa i wdowa po generale Polikarpie Łunkiewiczzu. W rok później, po zdaniu egzaminu do 1-ej klasy gimnazjum Batorego, w tym samym mieszkaniu ulokowano również Michała. Aby go lepiej przygotować do nauki w gimnazjum, poza nauką w domu w Lubońku rodzice posyłali go na do-

datkowe lekcje rysunków i przyrody u nauczyciela, mieszkającego w Borysławicach, niedaleko Krzykos, do którego uprzednio posyłano również Janka. W mieszkaniu babci Bronisławy Janek i Michał zamieszkiwali aż do ukończenia gimnazjum, a także przez następnych parę lat.

LATA SZKOLNE I POCZĄTEK STUDIÓW SYNÓW BRONISŁAWA

Mieszkanie babci Bronisławy było miejscem spotkań członków rodziny Wilandów, odwiedzających Warszawę. Gdy ktoś przyjeżdżał z Lubońka, przywoził zazwyczaj owoce i inne artykuły żywnościowe, które były wykorzystywane w miarę potrzeb. Chłopcy często odwiedzali Luboniek, gdzie mogli spotkać się ze swoimi rówieśnikami – zarówno z najbliższej rodziny, jak i z dziećmi znajomych rodziców Janka i Michała.

Najłatwiejsze były kontakty ze stryjecznym rodzeństwem. Z dzieci Władysława i Salomei Wilandów, mieszkających w Krakowie, Maria (Mika) i Jerzy byli o kilka lat starsi od Janka i Michała, ale ich najmłodszy syn Stach, podobnie jak Janusz, syn Stefana Wilanda, byli rówieśnikami Michała, a siostra Janusza, Zofia, była młodsza od niego o 4 lata. Wszyscy oni wraz ze swymi rodzicami odwiedzali Luboniek jako gniazdo rodzinne Wilandów, zwłaszcza w okresie letnim.

Często odwiedzali go również członkowie rodziny Koszutskich, Cygańskich i Borodziczów. W pierwszych latach po I-jej wojnie światowej Koszutscy mieszkali w Kościelcu, na zachód od Koła, w następnych latach – w Rososze, na północ od Koła. Ich dzieci, Jan, Marysia i Zygmunt, byli rówieśnikami Janka i Michała, rówieśniczkami były również ich cioteczne siostry – Zofia, Halina i Maryna Cygańskie, które w okresach letnich odwiedzały Koszutskich. Koszutscy i Cygańscy byli bardzo towarzyscy, toteż mimo znacznych odległości Kościelca lub Rosochy od Lubońka kontakty z nimi bywały ożywione.

Stosunkowo bliskimi sąsiadami Lubońka byli Borodziczowie, mieszkający w Korzeczniku, odległym o ok. 4 kilometry od Lubońka. Mieli oni dwie córki – Olszynę i Manię, rówieśniczki Janka i Michała. Atrakcją Korzecznika było tamtejsze jezioro, a bliska odległość sprzyjała częstym odwiedzinom.

Najbliższymi sąsiadami Lubońka byli Kokczyńscy, mieszkający w odległej o 2 kilometry Bierzwiennie Krótkiej. Mieli oni dwie córki – Wandę i Irenę, nieco młodsze od Janka i Michała. Kontakty z Kokczyńskimi były jednak rzadkie, gdyż obracali się oni w innym kręgu znajomych.

Do kuzynów mających dzieci w wieku Janka i Michała można jeszcze zaliczyć Brochockich. Feliks Brochocki, brat Adaminy Grudzińskiej, miał piątkę dzieci – Tadeusza, mieszkającego w Warszawie, wojskowego w stopniu majora, właściciela majątku Rycice koło Chorzel, Bronisławę, która wyszła za Romana Daszkowskiego i mieszkała z nim w majątku Kwilno koło Radziejowa, niezamężną Marię, Wandę, która wyszła za Franciszka Szeligę, dyrektora banku, oraz najmłodszego Zygmunta, który utracił słuch. Troje ostatnich mieszkało na Kujawach, między Osięcunami

a Brześciem Kujawskim, w majątkach Lekarzewice, Konary i Zagajewice. Tadeusz miał dwójkę dzieci w wieku Janka i Michała – Halinę i Jurka, Daszkowscy – trójkę dzieci w podobnym wieku: Marię, która wyszła za Osten-Sackena, Janusza oraz Halinę, która poślubiła pułkownika Leona Fudakowskiego. Ze względu na dużą odległość Kwilna od Lubońka z Daszkowskimi Wilandowie z Lubońka widywali się rzadko, częściej natomiast z mieszkającymi w Warszawie Haliną i Jurkiem Brochockimi.

Wanda z Brochockich Szeliżyna miała dwójkę dzieci – Zosię i Jurka Szeligów, rówieśników Stacha, najmłodszego z synów Bronisława. W podobnym wieku były też dwie córki Zofii z Wilandów Kontekowej – Ewa i Hanka. Spośród znajomych spoza rodziny rówieśnikami Stacha byli trzej synowie państwa Kazimierzostwa Gałęckich z Rgielewa koło Kłodawy – Henryk, Wojciech i Stanisław.

Dziedzina sportu, której dużo czasu poświęcali Janek i Michał, był tenis. Jako starsi chłopcy postanowili urządzić w Lubońku ziemny kort tenisowy i zamiar swój zrealizowali. Kort ten znajdował się w parkowej części ogrodu po stronie kapliczki, gdzie poprzednio był duży trawnik. Dziś na miejscu kortu tenisowego znajduje się boisko szkolne. Janek z Michałem nie zapominali także o lekkiej atletyce, w wyniku czego w Lubońku znajdował się dysk i oszczep do ćwiczeń. Janek w dysku uzyskiwał nawet dobre wyniki.

W okresie, gdy Janek i Michał przebywali w Warszawie, uczęszczając do gimnazjum Batorego, brat ich, mały Stach, mieszkał z rodzicami w Lubońku. Nie mając w domu rówieśników, chętnie się bawił z dziećmi ze wsi. W wieku około 6 lat wydarzył mu się nieszczęśliwy wypadek. Gdy wracał powozem z rodzicami z odwiedzanych Zagajewic niedaleko Brześcia Kujawskiego, konie ciągnące powóz przestraszyły się przejeżdżającego samochodu. Skutkiem tego powóz stoczył się bokiem do rowu, a Stach wypadł z niego, ulegając poważnemu poturbowaniu. Pierwszej pomocy udzielił mu doktor Kunczyński w Brześciu Kujawskim, brat Wacława, męża Leonii Grudzińskiej, a kilkudniową rekonwalescencję spędził Stach w domu wujostwa Szeligów w Konarach.

Podobnie jak jego starszych braci, również Stacha uczyła w domu mama Stefania, przygotowując go do 1-szej klasy gimnazjum.

Janek i Michał bez trudności przechodzili w gimnazjum Batorego z klasy do klasy, a w 1929 roku Janek zdał maturę, kończąc nauki gimnazjalne. Dla uczczenia tego faktu zaprosił kolegów maturzystów na parę dni do Lubońka. Niektóre ze zrobionych wówczas wspólnych zdjęć zachowały się, stanowiąc miłą pamiątkę z tamtych czasów.

Po skończonych wakacjach Janek rozpoczął studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie na Wydziale Rolniczym.

W 1929 roku zmarł najstarszy brat Stefanii – Zygmunt Grudziński, który był nie tylko wybitnym lekarzem, docentem na Uniwersytecie Warszawskim i pionierem polskiej rentgenologii, ale także człowiekiem o wielu zainteresowaniach. Jego hobby była m.in. fotografia artystyczna, w związku z czym posiadał różnorodny sprzęt fotograficzny. Dużo z tego sprzętu przejął po śmierci swego wuja Michał, co przyczyniło się do wzrostu jego zainteresowania sprawami fotografii.

W 1930 roku rozpoczął naukę gimnazjalną najmłodszy z trzech braci – Stanisław. Rodzice zamierzali umieścić go również w gimnazjum Batorego, ale przeszkodziła temu zmiana, dokonana kilka miesięcy wcześniej na stanowisku dyrektora tej placówki. Nowy dyrektor Wiktor Ambroziewicz, który przybył z Chełma Lubelskiego na miejsce dyrektora Rudzkiego, nie respektował przy przyjęciach uczniów poprzednich umów, wskutek czego zamiast do gimnazjum Batorego Stach został przyjęty do prywatnego gimnazjum Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej w Warszawie.

W rok później ukończył gimnazjum Batorego Michał, który szykując się do egzaminu konkursowego na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej uczęszczał na kilkutygodniowy kurs przygotowawczy do tego egzaminu. Aby ułatwić kandydatom dostanie się na Politechnikę, umożliwiono im równoczesne zdawanie na dwa wydziały. Michał zdawał na Wydział Mechaniczny i na Wydział Elektryczny. Egzamin na Wydział Mechaniczny poszedł mu lepiej, na Wydział Elektryczny trochę gorzej, ale na obydwu został przyjęty. Wybrał zaplanowany wcześniej Wydział Elektryczny, choć za bardziej udany egzamin na Wydział Mechanicznym przysługiwałoby mu nawet odznaczenie.

Pod koniec 1931 roku wydarzył się w Lubońku nieszczęśliwy wypadek, którego ofiarą padł Bronisław Wiland. Został dotkliwie poraniony przez rozjuszonego buhaja, którego próbował uspokoić. W ranie powstałej na szyi skutkiem wypadku utworzyło się ognisko raka, czemu ówczesna medycyna nie potrafiła skutecznie przeciwdziałać. Do Lubońska przyjechał na kilka miesięcy – przerywając studia na SGGW – jego najstarszy syn Jan, aby pomóc zarówno w gospodarowaniu jak i w opiece nad ojcem. W Lubońku pojawiła się również jego matka, mieszkająca na co dzień w Warszawie, jak i rodzeństwo. Po przewlekłej, trwającej prawie rok chorobie, wycieńczającej coraz bardziej organizm, i po wielkich cierpieniach, zwłaszcza w ostatnich miesiącach życia, Bronisław Wiland zmarł 5 listopada 1932 roku w Lubońku.

Działo się w Bierzwiennej dnia 7-go listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku o siedemnastej. Stawili się pełnoletni świadkowie Stefan Wiland zarządzający majątkiem Krzykosy i Władysław Powietrzyński służący z Lubońska i oświadczyli, iż w dniu 5-tego bieżącego miesiąca o godzinie 3 zmarł w Lubońku Bronisław Wiland mający lat 57, właściciel majątku Luboniek, urodzony i zamieszkały w Lubońku, syn Jana i Bronisławy z Pniewskich, obywateli ziemskich. Pozostawił po sobie żonę Stefanię z Grudzińskich. Po przekonaniu się o śmierci Bronisława Wilanda, akt ten stawiającym świadkom przeczytany, my i świadkowie podpisaliśmy...

Nabożeństwo żałobne i wyprowadzenie ciała zmarłego odbyło się trzy dni później – 8 listopada 1932 roku o godzinie 10-tej – w kościele parafialnym w Bierzwienne Długiej. Bronisław pochowany został na miejscowym cmentarzu obok swojego ojca Jana i zmarłej w okresie niemowlęcym siostry Marii. Grób istnieje w nienaruszonym stanie do chwili obecnej.

Po śmierci Bronisława nadzór nad gospodarką Lubońska przejął jego brat Stefan, który w tym czasie administrował Krzykosami, dojeżdżając od czasu do czasu do

własnego majątku Lijewo w powiecie wrocławskim, odległym od Lubońka o ok. 40 kilometrów. Do pomocy w bezpośrednim gospodarowaniu Lubońkiem miał dotychczasowego rządcę p. Józefa Cyrułowskiego. W tym czasie najstarszy syn zmarłego Bronisława, Jan Wiland, potrzebował jeszcze paru lat dla ukończenia studiów na SGGW.

Po zakończeniu przez Stefana Wilanda administrowania Krzykosami jego funkcję przejął bliski znajomy Grudzińskich i Wilandów p. Kazimierz Gałęcki z Rgielewa, położonego na wschód od Kłodawy. Objął on nadzór nad gospodarką Lubońka do czasu ukończenia przez Janka studiów na SGGW, a i później służył mu życzliwą radą.

Zarówno Stefan Wiland jak i Kazimierz Gałęcki traktowali nadzór nad Lubońkiem jako pomoc sąsiedzką i nie pobierali z tego tytułu żadnego wynagrodzenia.

Dla rolnictwa, które w tym czasie dotkliwie odczuwało skutki ogólnego kryzysu gospodarczego, lata po śmierci Bronisława były szczególnie trudne. Trzeba było bardzo rozważnie i oszczędnie gospodarować, by nie popaść w długi, które mogłyby zrujnować majątek. Dlatego z konieczności odsprzedano wówczas parę hektarów piaszczystych gruntów na skraju obszaru majątku.

Po ukończeniu w pierwszej połowie 1936 r. studiów na SGGW i zdaniu egzaminu dyplomowego najstarszy syn Bronisława, Jan Wiland, mógł już w pełni przejąć gospodarowanie Lubońkiem.

Nie na długo. Przyszedł rok 1939 i zupełnie odmienił los świata. Ale to już inna, odrębna historia.

Spisał:

Piotr Wiland, syn Michała, wnuk Bronisława

Brat mojej babci – Zygmunt Grudziński

Brat mojej babci – to brzmi dość precyzyjnie. Mówiąc językiem urzędowym, Zygmunt Grudziński jest dla mnie w czwartym stopniu krewnym w linii bocznej nierównej lub po prostu dziadkiem ciotecznym, gdyż był bratem babci ze strony mojego ojca. Ja jednak wolę określenie, jakiego pan Zagłoba użył w stosunku do Rocha Kowalskiego, proponując mu: „Mów mi wuju”. Dlatego będę nieraz używał tego „zagłobowego” sformułowania.

Im bliżej zapoznawałem się z osobą mojego wuja Zygmunta Grudzińskiego, tym bardziej byłem nim zafascynowany. Nie mogę odżałować, że nigdy nie miałem szansy, by poznać go osobiście. Ale gdyby nawet wuj dostał szansę długiego życia, byłbym za młody, aby mu zadać mnóstwo pytań, które teraz cisną mi się na usta. Znałem za to jego żonę, ciocię Wandę. Zajmowała wspólnie ze swą siostrzenicą Ireną piękne, duże mieszkanie przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie. Wraz z moimi rodzicami niemal co roku przyjeżdżaliśmy w okresie wakacji do stolicy i tradycyjnie składaliśmy wizyty u obu cioci. Obie wyszły za mąż – w różnym czasie – za braci Grudzińskich, Helena Wanda za Zygmunta, zaś Irena za Władysława. Ich związki rodzinne były więc bardzo mocne, gdyż nie dość, iż Helena Wanda była ciocią dla Ireny, to do tego były one wzajemnie dla siebie bratowymi.

Ciocia Wanda przeżyła swego męża o niemal 50 lat. Pamiętam, że kiedyś podarowała mi trzy tomy „Historii XIX wieku”, oprawione w elegancką skórę, z ekslibrisem Zygmunta Grudzińskiego. Wuj był jednym ze współautorów tego dzieła; pisał o rozwoju medycyny, mając już za sobą doświadczenia kilkuletniej pracy lekarskiej. Ciocia знаła moje zafascynowanie historią. Była pewna, że książka zostanie przeze mnie przeczytana, co też się stało. Być może ten jej prezent miał istotny wpływ na jeden z najważniejszych wyborów w moim życiu. Po maturze, zamiast zdawać na historię, zdecydowałem się spróbować swoich szans na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej we Wrocławiu. Teraz, gdy stopniowo poznaję koleje życia Zygmunta, jego niestrudzoną energię, innowacyjność i rozległość zainteresowań, utwierdzam się w przekonaniu, że był dla mnie patronem przy wyborze drogi zawodowej.

WCZESNE DZIECIŃSTWO ZYGMUNTA

Ojciec Zygmunta, Michał Grudziński (ur. 1833), był synem Ignacego Grudzińskiego i Agaty Grudzińskiej z domu Surczewskich. W roku 1864 – mając lat 30 – wziął w Łęczycy ślub z Kazimierą z Borzysławskich. Ich pierwszy syn, Władysław, zmarł wkrótce po urodzeniu w 1865 roku. Małżonkowie niedługo byli razem. W dwa lata później zmarła żona Michała, a rok później on sam ponownie wstąpił w związku małżeńskie. Jego wybranką została Adamina Marianna Brochocka (ur. 1842), córka Władysława i Julianny. Ślub odbywał się w Łęczycy, co wskazuje na to, iż panna



Rodzina Grudzińskich – ok. 1880 r. (pierwszy z lewej Zgmunt, trzecia siostra Stefania).

młoda mieszkała w tym samym mieście, co jej wybranek. W ten sposób Michał wszedł w koligacje z rozgałęzioną i utytułowaną rodziną Brochockich – z tak zwanej dawnej szlachty.

Pierworodnym dzieckiem z ich małżeństwa był bohater niniejszego opowiadania, Zygmunt Grudziński. Przyszedł na świat w 1870 roku. W ciągu następnych 17 lat małżeństwo dochowało się jeszcze czworga dzieci. Wszystkie urodziły się w Łęczycy. Następną ich pociechą był Aleksander Franciszek (ur. 17.03.1872), a w roku 1875 urodziła im się pierwsza dziewczynka. Nadano jej na chrzcie imiona Stefania Maria (ur. 10.07.1875). To moja babcia, która 33 lata później wyszła za mąż za Bronisława Wilanda. Następnym dzieckiem w rodzinie Grudzińskich był Władysław Adam (ur. 24.11.1880). Najmłodsza córka, Leonia Feliksa (ur. 11.04.1887), urodziła się, gdy jej matka Adamina miała już 45 lat. Różnica pomiędzy Zygmuntem a Leonią wynosi zatem 17 lat, czyli niemal jedno pokolenie. Na zdjęciach, wykonanych przez Zygmunta w początkach XX wieku w majątku rodzinnym Grudzińskich w Krzykosach, to właśnie Leonia pojawia się najczęściej w różnych odsłonach.

WARSZAWA – STUDIA I ZAWIROWANIA POLITYCZNE

Pod koniec lat 80-tych XIX wieku Michał Grudziński przeniósł się z całą rodziną do Warszawy, gdzie objął posadę nauczyciela. Jednocześnie prowadził stancję w swoim dużym domu, gdzie m.in. wynajmował pokój. Zamieszkanie w Warszawie dało małżeństwu Grudzińskich szansę na zapewnienie odpowiedniej edukacji wszystkim swoim dzieciom.

Zygmunt zdał maturę w III gimnazjum. Na ten temat można przeczytać wzmiankę prasową w rubryce *Ze szkół* w „Kurierze Codziennym” z dnia 9 (21) czerwca 1890 roku, *W dniu dzisiejszym odbył się akt zamknięcia roku szkolnego w III-em gimnazjum męskim. Świadectwa dojrzałości otrzymali następujący uczniowie klasy VIII-ej: Konrad Gliński, Oskar Goldflam, Zygmunt Grudziński, Józef Dulski, Konstanty Lubiński, Ludwik Landau ... i inni* (rycina ..) Może któryś z czytelników odnajdzie na tej liście nazwisko swojego dziadka czy pradziadka.

W tym samym roku 1890 Zygmunt podjął studia na Wydziale Lekarskim Cesarского Uniwersytetu Warszawskiego.

W kwietniu 1894 roku upłynęło sto lat od powstania kościuszkowskiego. Dnia 17 kwietnia 1794 roku wybuchła insurekcja przeciwko dominacji rosyjskiej w Warszawie. W tymże dniu szewc Jan Kiliński dowodził udanym atakiem na rosyjski garnizon w Warszawie. Równy sto lat później w archikatedrze warszawskiej rozpoczęła się msza święta w intencji „powrotu do zdrowia chorego dziecka”. Było to we wtorek o godzinie 10 rano. W kościele zgromadziło się bardzo wielu studentów, szczególnie zwolenników opcji narodowej. Wśród nich znalazł się 24-letni Zygmunt, wtedy student Wydziału Lekarskiego. Po zakończeniu mszy uformował się pochód, którego



Grudzińscy – ok. 1900 r. Siedzą od lewej: Leonia, Adamina, Michał. Stoją od lewej: Władysław, Aleksander, Stefania i Zygmunt.

uczestnicy zamierzali pójść śladem szturm sprzed 100 lat – czyli od katedry św. Jana do domu Kilińskiego na Szerokim Dunaju, a następnie pod dawną siedzibę pośła rosyjskiego na Podwalu. Tam manifestanci natrafili na carską żandarmerię, która otoczyła ich ze wszystkich stron. Zygmunt nie zdążył wsiąść – jak niektórzy manifestanci – do jednego z tramwajów konnych, ale trafił na podwórze pobliskiego cyrkułu policyjnego. W tym miejscu spisano dane 254 osób, po czym większość z nich puszczono wieczorem do domu.

Wbrew nadziejom zainteresowanych – nie był to jednak koniec represji.

Pochód z 17 kwietnia okazał się największą manifestacją uliczną w Warszawie od czasów powstania styczniowego. To wzbudziło przestrach rosyjskich władz miasta. Postanowiły odpowiedzieć w sposób zdecydowany. W nocy z 19 na 20 kwietnia zaczęły się aresztowania po domach. Niektóre osoby władze carskie zatrzymały w więzieniu na kilka miesięcy, wielu zaś studentów doświadczyło standardowej metody wychowawczej w carskiej Rosji – zesłania na wschód. Zygmunt był jednym z nich. Przebywał przez 3 miesiące na Pawiaku i ostatecznie został zesłany na okres dwóch lat do Astrachania. Z tego okresu zachowała się fotografia młodzieńca z dedykacją na odwrocie: *Przyjacielu na krótki czas przebywania w Astrachaniu na dobrą pamiętkę dla Zygmunta Grudzińskiego od... 11 lipca 1895 r. Astrachan.* Niestety, nazwisko przyjaciela z czasów zesłania jest trudne do odczytania.

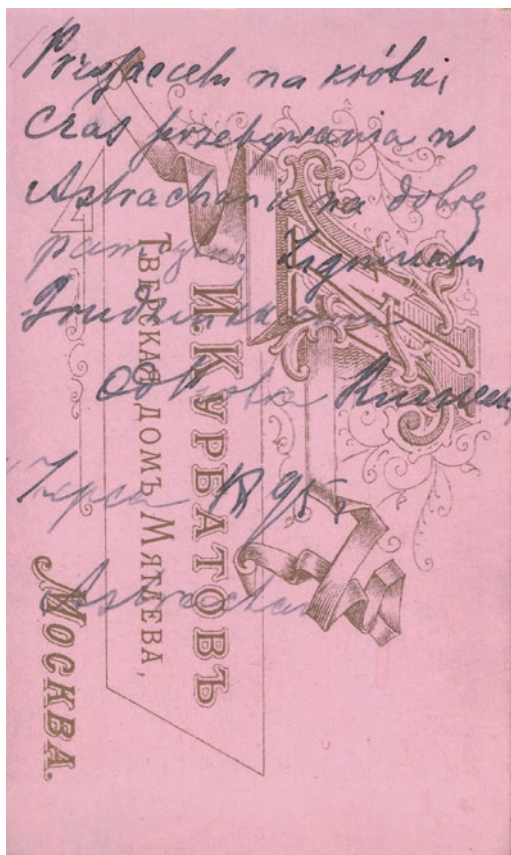
Zygmunta zwolniono na mocy amnestii związanej ze wstąpieniem na tron cara Mikołaja II, ale młody człowiek nie mógł powrócić do Warszawy. Udało mu się kontynuować studia medyczne w Dorpacie (dzisiejsze Tartu). Językiem wykładowym na tym uniwersytecie, położonym na terenie dzisiejszej Estonii, był wtedy niemiecki. Zaczęła się już jednak rusyfikacja niektórych wydziałów. W roku 1898 zarządzono, iż językiem wykładowym będzie język rosyjski – ale Zygmuntowi udało się skończyć naukę dwa lata wcześniej.

Uniwersytet w Dorpacie został założony w XVII wieku przez Szwedów, a następnie zreorganizował go car Aleksander I jako Caesarea Universitas Dorpatensis. Uczelnia posiadała dużą autonomię w doborze kadr oraz form nauczania i cieszyła się opinią placówki o wysokim poziomie kształcenia. Jej władze były przychylnie nastawione do polskich studentów. Gdy po upadku powstania listopadowego w roku 1831 zlikwidowano Uniwersytet Wileński i Warszawski – wiele osób przeniosło się właśnie do uniwersytetu w Dorpacie. Jednym ze studentów wydziału medycznego tej uczelni był Tytus Chałubiński (1820–1889).

Pomimo początkowego wyroku o niemożności powrotu do Polski, Zygmunt z dyplomem uczelni w Dorpacie pojawił się w Warszawie. Wiemy to z lektury ówczesnej prasy. W dziale ogłoszeń „Kuriera Warszawskiego” z dnia 1 (13) lipca 1897 roku pojawiła się informacja o treści: *Dr Zygmunt Grudziński przeprowadził się na ulicę Miodową nr 8.* Przypuszczalnie pracował także po to, aby zdobyć odpowiednie fundusze na dalszą naukę. Postanowił bowiem zyskać większe doświadczenie i wiedzę medyczną w czołowych w tym czasie ośrodkach niemieckojęzycznych. Językiem niemieckim władał doskonale co najmniej od czasu studiów. Szczególnie interesowały go choroby wewnętrzne. W celu uzupełnienia swojej wiedzy pojechał więc do Berlina i Wiednia. Przysłuchiwał się wykładom profesora Leydena w Berlinie, a następnie prof. Benedicta i Winternitza w Wiedniu. W tym czasie cieszyli się oni sławą wielkich autorytetów medycznych. Profesor Ernst Viktor von Leyden (1832–1910) był uczniem Johanna Lukasa Schönleina, którego nazwisko jest powszechnie znane pediatrom czy reumatologom z racji nazwania nim zespołu chorobowego związanego z zapaleniem naczyń. Profesor von Leyden był neurologiem, ale jego



Kolega z czasów zsyłki
do Astrachania – 1895 r.



Dedykacja od kolegi z Astrachania.

zainteresowania obejmowały szerszy zakres. Założył czasopismo poświęcone chorobom wewnętrznym, leczył też cesarzy Niemiec i Rosji: Fryderyka III oraz Aleksandra III. Z kolei profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego Wilhelm Winternitz (1835–1917) był określany jako „ojciec naukowej hydropatii”. Dużo pisał i nabył praktycznego doświadczenia prowadząc oddział o tym profilu. To, czego się tam Zygmunt dowiedział, w znaczący sposób wpłynęło na pierwsze lata jego pracy zawodowej.

Z Wiednia przeniósł się do kliniki profesora Gluzińskiego we Lwowie. Pracował tam przez jeden semestr w 1899 roku i wrócił do Warszawy.

W „Kurierze Warszawskim” z dnia 25.08 (6.09) 1899 roku pojawiło się ogłoszenie: *Dr Zygmunt Grudziński powrócił z zagranicy. Przyjmuje od 8–10 zrana i od 4–6 p.p. Widok 23. Choroby wewnętrzne i nerwowe. Pomiędzy godziną 10 a 16 –* tak jak miało w zwyczaju wielu innych lekarzy – pracował w Klinice Diagnostycznej Uniwersytetu Warszawskiego jako ordynator nadetatowy.

Dalsze losy dr. Grudzińskiego można prześledzić w kolejnych ogłoszeniach w „Kurierze Warszawskim”. W dniu 28 czerwca (11 lipca) 1900 roku czytamy, iż *Dr Zygmunt Grudziński wyjechał na sezon letni do Nowego Miasta*. Prawdopodobnie chodzi o Nowe Miasto nad Pilicą, gdyż już w 1874 roku utworzono tam zakład przyrodolecznicy dla osób z chorobami przede wszystkim układu nerwowego. Bywali w nim m.in. Józef Chełmoński czy Henryk Sienkiewicz. Kuracjusze zażywali kąpeli, masaży, pili wody lecznicze. Co istotne – miał tam codziennie kursować omnibus konny.

Ponownie zajrzyjmy na łamy „Kuriera Warszawskiego” z dnia 6(19) września 1903 roku, gdzie spotkamy krótką informację dla zainteresowanych pacjentów: *Dr Zygmunt Grudziński powrócił. Widok 23.* Można dodać, iż jak co roku wrócił z sanatorium, gdzie chorzy bywali od maja lub czerwca do września.

NIE TYLKO MEDYCyna

W czerwcu roku 1901 nakładem „Gazety Polskiej” ukazał się pierwszy tom księgi pt. „Historia XIX stulecia”, obejmującej okres napoleoński, a wydanej pod redakcją Aleksandra Czechowskiego. Szereg rozdziałów napisał w niej Józef Tokarzewicz. Drugi tom tejże publikacji obejmował lata 1815 do 1848 i został oddany czytelnikom 3 grudnia 1901 roku, po uzyskaniu zgody cenzury na rozpowszechnianie. Znalazł się tam napisany przez 31-letniego Zygmunta Grudzińskiego rozdział o medycynie. Wyraził w nim pogląd, iż pierwsza połowa XIX wieku wiąże się z położeniem podwalin pod naukowy charakter nauk lekarskich poprzez rozwój histologii, fizjologii i anatomii patologicznej. Szczególny hołd oddał Rudolfowi Virchowowi (1821–1902). *Żyjący jeszcze po dziś dzień Virchow, jeden z najgenialniejszych ludzi jakim się szczyści wiek XIX – pisze o nim, – jest to postać, nad którą się warto dłużej zatrzymać. Urodził się on w Niemczech na Pomorzu w Schivelbein w r. 1821....*

Miejsce urodzenie Virchowa stało się nam bliskie, od kiedy znalazło się w granicach powojennej Polski i zmieniło nazwę na Świdwin. W bieżącym 2021 roku dnia 13 października świętowano w tym miasteczku dwustuletnią rocznicę urodzin twórcy nieśmiertelnego dzieła „Patologia komórkowa”, które „...stało się podwaliną medycyny nowoczesnej...”. W tym dniu z udziałem władz miasta odsłonięto mural z wizerunkiem Rudolfa Virchowa – w miejscu, gdzie kiedyś stał jego dom.

W galerii opisywanych przez Zygmunta Grudzińskiego ludzi, którzy przyczynili się do rozwoju nowoczesnej medycyny, znalazł się również twórca rozpowszechnionego w tamtych czasach w medycynie kierunku nihilistycznego. Jak wspomina wuj: „... Nie dawał on nawet gorszych rezultatów w praktyce niż dawniejsze, gdyż przy takiej metodzie, choć może czasem nie ratowano chorego tam, gdzie to było możliwe, za to w innych razach nie było możliwości zaszkodzenia choremu, co przy dawnych energicznych metodach leczniczych zdarzało się nieraz. Głównym twórcą tego kierunku był lekarz polski Józef Dietl, jeden z najznakomitszych przedstawicieli medycyny polskiej...”.

Działalność naukowa Józefa Dietla (1804–1878) przypadała na okres jego pobytu w Wiedniu, gdzie wydał dzieło, w którym udowodnił, iż *...bez puszczania krwi zdrowieje taki sam procent ludzi chorych na zapalenie płuc... wszędzie przestano wierzyć w lekarstwa i w możliwość jakiegokolwiek wpływu na naturalny przebieg choroby. Naturalnie i ten kierunek był tylko przejściowy i wkrótce ustąpił miejsca większej wierze w skuteczność interwencji lekarskiej, pod wpływem wielkich odkryć, które nastąpiły w drugiej połowie stulecia i o których pomówimy później.*

Zaciekawiony otwieram trzeci tom omawianego dzieła, które kończyło opis historii świata na rok 1900. Zygmunt Grudziński opisał w nim dzieje medycyny drugiej połowy XIX wieku. To już epoka powstania nowej gałęzi nauk medycznych, czyli bakteriologii, z przełomowymi odkryciami Pasteura i Kocha. Nie odkryto jeszcze wtedy przyczyny takich chorób jak odra lub ospa, które okazały się być chorobami wirusowymi. Wuj zwrócił uwagę na czołowe osiągnięcia medycyny jak aseptyka, na wdrożenie w terapii działań ratujących życie jak szczepienia np. przeciwko wścieklicznie oraz surowice np. przy leczeniu dyfterytu gardła. Nie omieszkał wspomnieć o leczeniu sanatoryjnym czy wynalezionych kilka lat wcześniej ...*promieniach Röntgena do fotografowania ciała ludzkiego*.

Grudziński pisząc lubił uprawiać coś, co dziś nazwalibyśmy edukacją pacjentów. Miał swoją szpaltę w cotygodniowym piśmie ilustrowanym „Naokoło Świata”. Było ono poświęcone „opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków”. W egzemplarzu z 27 (14) lutego 1904 roku Grudziński wyjaśnił czytelnikom, czym jest choroba Basedowa. W cztery lata później, w lutym 1908 roku, w rubryce tego tygodnika *Pogadanki z zakresu higieny i medycyny popularnej* omówił rolę ćwiczeń w różnego rodzaju niedowładach, w tym również na tle kiły, zaś w numerze wiosennym z 17 maja tego roku podjął temat nieco lżejszy, bo dotyczący śmiechu – zarówno śmiechu chorobliwego i jego leczenia, jak też śmiechu jako środka leczniczego.

KRZYKOSY – RODZINNE GNIAZDO GRUDZIŃSKICH

Przed pierwszą wojną światową miejscowość Krzykosy były siedzibą gminy, obecnie należy do gminy Kłodawa. Nazwa ta pojawia się w dawnych notkach historycznych. Wynika z nich, iż w 1393 roku Krzykosy należały do biskupa z Poznania. W innym zapisie historycznym można wyczytać wzmiankę o tym, iż dziedzic dóbr Krzykosy i Dąbrówki (na południe od Krzykos) ufundował w Kłodawie w 1623 roku kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. W następnych wiekach Krzykosy kilkakrotnie zmieniały właścicieli. Na przełomie XIX i XX wieku majątek pozostawał w rękach rodziny Jezierskich.

Rok 1901 był wg reportera „Gazety Kaliskiej” (18-06-1901) bardzo niepomysłny ...*dla rolników stron naszych. Nie dosyć, że większość ozimin przepadła lub musiała być zaorana, gdzie los szczęśliwy zrządził, że pięknie się przedstawiała – nadeszły grady i wszystko zmarnowane zostało. Miało to miejsce w Bierzwiennie, Rysinach i in. Następstwem tego – częste przechodzenie majątków z rąk do rąk, lub co było rzadkością dotąd – parcelacja i to za pośrednictwem faktorów. Zawiązana w tych stronach w m. Kole, spółka kapitalistów, którzy na lasach nie mogą już robić interesów, rzuciła się na majątki ziemskie, obdłużone, aby je za bezcen nabyć – a później z lichwą odprzedać chłopom... Tak poszły Krzykosy, tenże los spotkał świeżo i piękny majątek Błędno...*

W miesiąc później na łamach „Echa Kaliskiego” z dnia 20.07.1901 roku ukazała się wzmianka: *Piękny majątek Krzykosy w pow. Kolskim, od p. Jezierskiego nabyli w drodze subhastacji* (przypis – dawne wyrażenie na postępowanie egzekucyjne mające na celu sprzedaż dóbr dłużnika w drodze licytacji) *wierzyciele hipoteczni, Jakób Kolski i Menchem Trejber za 45 090 rubli*. Niedługo później Krzykosy zostały przez tę spółkę sprzedane rodzinie Grudzińskich. Z relacji mojego taty wynika, iż Michał Grudziński zdecydował się kupić majątek Krzykosy z pomocą finansową swojego brata Franciszka, który nie był żonaty. W tym czasie synowie Michała zdobyli już wyższe wykształcenie i samodzielność materialną. Zygmunt był ordynatorem nadetatowym, Aleksander skończył studia inżynierskie i był specjalistą w dziedzinie ogrzewania, zaś Władysław, wszechstronnie uzdolniony, był matematykiem oraz inżynierem elektrykiem. Oni również mogli partycypować w zakupie majątku, gdyż później stali się jego współwłaścicielami. Wraz z Michałem i Adaminą przenieśli się na stałe z Warszawy do Krzykosy obie córki: Stefania i Leonia. Natomiast trzej bracia nie traktowali majątku Krzykosy jako źródła dochodu, ale podobnie do obecnych mieszkańców domków weekendowych – jako miejsce wypoczynku i spotkań rodzinnych. W tych czasach Krzykosy były oddalone od istniejących linii kolejowych. Uruchomienie bezpośredniego połączenia kolejowego między Warszawą a Poznaniem nastąpiło dopiero w roku 1921. Na początku XX wieku trzeba było wysiąść w Kutnie, skąd pozostawało jeszcze do pokonania około 40 kilometrów do Krzykosy.

Matka Zygmunta, Adamina z Brochockich, pochodziła z rodziny ziemiańskiej i powrót z wielkiego miasta na wieś był dla niej spełnieniem marzeń. Wiele godzin spędzała w części owocowo-warzywnej majątku, przylegającej do rzeki Rgilówki. Niemniej w rodzinie Grudzińskich nie było nikogo z doświadczeniem czy wykształceniem rolniczym, toteż sprawy zarządzania majątkiem zostały oddane w ręce różnych administratorów, w tym rodziny Brochockich. Już po zakupie majątku nowi właściciele uznali zabudowania dworskie za bardzo stare, wymagające remontu lub gruntownej przebudowy. Takich zmian nie dokonano przez następnych 40 lat, a mimo to dom przetrwał w dobrej kondycji.

W początkach lat 20-tych XX wieku lokalnie uruchomiono we dworze w Krzykosach elektryczność (na prąd stały 120 V i baterię akumulatorów), w czym zapewne niemałe zasługi miał Władysław Grudziński z racji swego wykształcenia. Kilka lat później podłączono wodociągi i kanalizację. Już w latach 30-tych tzw. „biały domek”, czyli kwadratowy budynek znajdujący się pomiędzy dworkiem a podwórzem, został przebudowany i unowocześniony przez Aleksandra Grudzińskiego, który przyjeżdżał do Krzykosy ze swoją żoną Tatianą.

Dworek w Krzykosach otoczony był przez ozdobny stary park, dochodzący do rzeki Rgilówki. W środku parku, naprzeciw dworku, znajdował się okrągły staw, połączony wąskimi kanałami z przebiegającą w pobliżu Rgilówką. Właściciele zadbali o to, aby nad kanałami zbudować drewniane mostki dla spacerujących. Te krajobrazy stanowiły idealne miejsce dla Zygmunta – mógł tu dać upust swojej pasji fotograficznej.



Fot. Z. Grudziński

Most w Krzykosach podczas wiosennej powodzi.

Niedaleko drogi wiódł trakt, który stał się potem załączkiem drogi krajowej Warszawa – Poznań. Od niej prowadziła do dworku pięknie zadrzewiona aleja, istniejąca do dnia dzisiejszego. Przed dworkiem znajdował się duży okrągły klomb z otaczającą go drogą wjazdowo-wyjazdową, a z drugiej strony dworku, pomiędzy nim a stawem, był duży klomb z roślinami ozdobnymi. Sad owocowo-warzywny, który stał się oazą Adaminy Grudzińskiej, przylegał do parku i był odrębnie ogrodzony.

W roku 1908 mój dziadek Bronisław Wiland poślubił siostrę Zygmunta, Stefanię Grudzińską. Poznali się po sąsiedzku, gdyż z Krzykos do Lubońka było niecałe sześć kilometrów w linii prostej. Kroniki rodzinne czy rodzinne opowieści nie potrafią odpowiedzieć, jak długo państwo młodzi się znali. Znamy natomiast listę gości zaproszonych na ślub, który odbył się w jednym z hoteli w Warszawie, Tradycyjnie ślub był organizowany przez rodzinę panny młodej, a bracia Stefanii, pracowali i mieszkali w Warszawie. W kolejnych latach do tradycji należały spotkania rodzin Grudzińskich, Wilandów i Brochockich w dworku w Krzykosach. Rodzinną idyllę przerwała śmierć ojca Michała Grudzińskiego, który odszedł w roku 1913, niedługo przed narodzinami swojego drugiego wnuka, Na cześć dziadka nadano dziecku imię Michał. To mój tata, który wiele lat później przejmie po wuju Zygmuncie zainteresowania fotograficzne i skorzysta ze sprzętu, który ten po sobie zostawił.



Rodziny Brochockich i Grudzińskich przed dworkiem w Krzykosach.

Według zachowanego odpisu Urzędu Skarbowego z roku 1924 wynika, iż Zygmunt Grudziński wpłacił zaliczkę od podatku gruntowego i podymnego z folwarku Krzykosy za wszystkich pięciu spadkobierców w łącznej wysokości 6 857 złotych i 37 groszy (na niego samego przypadła kwota 1211 złotych). Majątek Krzykosy w latach 20-tych był prowadzony przez rządców, w tym brata męża Stefanii, Stefana Wilanda, który później administrował jeszcze majątkiem w Lubońku oraz swoim własnym w Lijewie, około 45 kilometrów na północ od Krzykos. Ostatecznie nie był on w stanie podołać wszystkim obowiązkom i funkcję administrowania przejął Kazimierz Gałęcki z Rgielewa, położonego na wschód od Kłodawy. W Krzykosach mieszkała na stałe matka Zygmunta – Adamina oraz jej najmłodsza córka Leonia. W roku 1925 Leonia wyszła za mąż za Wacława Kunczyńskiego i przeniosiła się do jego domu w Wyszkowie.

W dniu 9 grudnia 1939 roku właściciele majątku w Krzykosach zostali wysiedleni przez Niemców z granic powiatu kolskiego do Generalnej Guberni i nigdy już nie mieli do siebie powrócić. Po zakończeniu wojny majątek został rozparcelowany, zaś większość okazałych budynków gospodarczych rozebrano. Na szczęście dworek w Krzykosach nie uległ dewastacji. Przez jakiś czas mieściła się w nim szkoła, a potem przeszedł w ręce prywatne i zachował swój kształt architektoniczny wraz z ogrodem



Wspólne muzykowanie
(na zdjęciu z lewej: kuzyn
Brochocki, przy fortepia-
nie Z. Grudziński).

i stawem. Miałem okazję – dzięki uprzejmości obecnego właściciela, pana Karola – w czerwcu tego roku zobaczyć wnętrza rodzinnego gniazda Grudzińskich i wyobrazić sobie te miejsca, gdy dawno temu służyły Zygmuntowi Grudzińskiemu za plenery.

PASJA FOTOGRAFICZNA

W 1888 roku chemik i wynalazca Piotr Lebedziński założył w Warszawie pierwszą w kraju wytwórnę papierów fotograficznych, a od 1896 roku oferował również aparat marki „Chicago” na format 9 x 12 cm. Niemal równocześnie z dr. Edmundem Biernackim wykonywał pierwsze w Polsce zdjęcia z użyciem promieni Roentgena. W roku 1899, staraniem Aleksandra Ginsberga, założone zostało w Warszawie przedsiębiorstwo optyczne, które było pierwszym takim przedsięwzięciem w całym Cesarstwie Rosyjskim. Nazwane zostało Fabryką Przyrządów Optycznych „FOS”.

Produkowano w nim bardzo dobrej klasy obiektywy i aparaty fotograficzne, które zdobywały nagrody na licznych wystawach w miastach takich jak Kraków czy Petersburg.

Nic więc dziwnego, iż na fali zwiększonego zainteresowania fotografią, która stała się dostępna dla szerszego grona osób, w roku 1901 zostało utworzone (staraniem m.in. Piotra Lebedzińskiego) Towarzystwo Fotograficzne Warszawskie (TFW). Po dwóch latach liczyło już 140 członków. W celu rozszerzenia swego zasięgu na cały kraj, Towarzystwo przekształciło się w 1907 roku w Polskie Towarzystwo Miłośników Fotografii. Wśród jego członków od samego początku znajdował się Zygmunt Grudziński. Od 1904 roku Towarzystwo wydawało miesięcznik „Fotograf Warszawski”

**Leonia i Stefania
Grudzińskie oraz
Maria i Bronisława
Brochockie.**





**Maria i Bronisława
Brochockie - na zdjęciu
po prawej towarzyszy im
Zygmunt Grudziński.**



w którym publikował swoje dzieła również mój wuj. Jego zainteresowania artystyczne były bardzo różnorodne – szczególnie upodobał sobie krajobrazy, ale w jego zbiorze zdjęć znajdowały się i akty kobiece, choć ich definicja była wtedy skromniejsza niż obecnie. Czasem odnoszę wrażenie, iż Zygmunt Grudziński był współinicjatorem zakupu Krzykosów, gdyż cały ich teren był dla niego idealnym plenerem fotograficznym. W tamtych czasach zdjęcia wykonywane własnym aparatem mogły być wykorzystywane jako kartka pocztowa. Zygmunt lubił przysyłać swoje zdjęcia do bliskich osób. I tak, trzymając w ręku zachowaną po dzień dzisiejszy kartkę, odczytuję to, co napisał w Warszawie w dniu 11.XI.1907 roku do swojej siostry, przebywającej wtedy w Krzykosach: *Przesyłając Ci wzmocnioną aleję w parku, proszę abyś koniecznie przyjechała, pokażę Ci dużo ładnych rzeczy. Zarazem proszę z upoważnienia Mamy, abyś mi przywiozła garnek powideł i trochę gruszek. Przyjedź koniecznie! Ściskam Cię. Twój Zygmunt.*

W roku 1912 wuj przyjął funkcję sekretarza organizowanej z dużym rozmachem wystawy „Krajobraz Polski”, która była eksponowana w sali Ratusza w Warszawie. Jej głównym organizatorem było Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Wśród zgłoszonych fotografii znalazły się też dzieła Zygmunta Grudzińskiego. Na jego zdjęciach rozpoznać można także tereny w pobliżu Krzykosów. Są fotografie kaplicy w Lubońku, które stanowią ślad wizyt Zygmunta u zamężnej siostry Stefanii, krzyż choleryczny w Krzykosach, widok dworku wiejskiego rodziny Grudzińskich czy przepływającej w pobliżu rzeki Rgielewki. Na fotograficzne łowy Zygmunt udawał się też w okolice rzeki Świder, nad rzekę Bug czy do guberni grodzieńskiej.

Zygmunt Grudziński czynnie uczestniczył w spotkaniach Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii w Warszawie. Sięgnijmy do ogłoszenia zamieszczonego w „Kurierze Warszawskim” z dnia 16 kwietnia 1913 roku. *Zarząd polskiego Tow. miłośników fotografii zawiadamia, że jutro o godz. 8-iej wiecz. w siedzibie własnej przy ul. Włodzimierskiej nr 5 odbędzie się pogadanka fotograficzna, na której dr. Z.*

Grudziński mówić będzie o zdjęciach portretów. A miał na ten temat wiele do powiedzenia, o czym świadczą urokliwe zdjęcia portretowe jego siostr Stefanii i Leonii, które zachowały się w moich zbiorach do dnia dzisiejszego.

W niepewnych czasach wojennych u progu roku 1915 spotkania w siedzibie Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii odbywały się często. Dzięki nim można było oddać się marzeniom o dalekich podróżach, a także o miejscach bliższych, ale niedostępnych wskutek zawieruchy wojennej.

W dniu 12 stycznia 1915 roku ukazało się w „Nowej Gazecie” ogłoszenie o kolejnym spotkaniu Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii. *W czwartek dn. 14 b.m. o godz. 8 ¼ w. w siedzibie własnej przy ul. Włodzimierskiej No5 odbędzie się zwykłe miesięczne zebranie członków, na którym D-r Z. Grudziński pokaże szereg ciekawych przezroczy z Riwiery oraz z wycieczek po kraju.* Musiało się ono cieszyć dużym powodzeniem. W kilka dni później możemy przeczytać w „Gazecie Warszawskiej” (1915-01-19) pochwalny opis tego spotkania: *Dnia 14 b.m. w siedzibie Polskiego T-wa Miłośników Fotografii odbyło się zwykłe miesięczne zebranie członków. Dr. Z. Grudziński pokazał w 3-ch grupach szereg przezroczy, z których szczególnie ciekawe i pouczające były zdjęcia Roentgenowskie. Dla bywalców Ciechocinka miłym przypomnieniem był szereg jej widoków z ruinami Raciążka i wspaniałym zakładem kolonii letnich, w sezonie ubiegłym otwartym. Piękne wybrzeża Mentony i innych okolic jasnego brzegu dopełniły całości mile spędzonego wieczoru.*

ZYGMUNT GRUDZIŃSKI, KIEROWNIK ODDZIAŁU HYDROPATYCZNEGO W CIECHOCINKU

Mniej więcej od 1901 roku Zygmunt Grudziński pracował w ciągu sezonu letniego jako lekarz zdrojowy w Ciechocinku. Panoramę codziennego życia w tym uzdrowisku najlepiej oddają szpalty „Zdroju Ciechocińskiego”, czasopisma ukazującego się w latach 1907–1910 (w sezonie letnim, czyli od początku maja do połowy września) kilka razy w tygodniu. Założone ono zostało przez grupę warszawskich lekarzy, którzy praktykowali w Ciechocinku. Pismo zawierało rozbudowany dział miejscowej kroniki towarzyskiej, ukazywały się w nim ogłoszenia lekarzy, którzy rozpoczynali albo przerywali czasowo praktykę w Ciechocinku. Autorzy wielu artykułów nappominali swych czytelników, aby przede wszystkim korzystali z uroków polskich uzdrowisk i stanowczo zniechęcali ich do wyjazdu do *niemieckich zdrojów*, uznając to za przedsięwzięcie niepatriotyczne, a ponadto narażone na drożyznę i niesolidność. Granica rosyjsko-niemiecka znajdowała się wówczas w pobliżu Ciechocinka i niekiedy organizowano dla tutejszych kuracjuszy wycieczki statkiem do Torunia, leżącego już po drugiej stronie granicy, a nawet dalej – pociągiem – do Gdańska, Oliwy, Sopotu i Malborka.



Zygmunt Grudziński i jego mama,
Adamina Grudzińska.

Wśród autorów tego czasopisma często bywał również Zygmunt Grudziński. W jednym z numerów wydanych w 1907 roku opisał oddział hydropatyczny zakładu kąpielowego w Ciechocinku. Oddział ten założony został w 1905 roku staraniem zarówno wuja, jak i doktora Arnsztejna, który o to zabiegał od dawna. Oddział hydropatyczny (czyli wodnoleczniczy) znajdował się w osobnym budynku obok gmachu łaźni. Składał się z czterech obszernych sal kąpielowych, z których *pierwsza jest przeznaczona dla półkąpeli, kąpeli nasiadowych i nacierań, druga dla natrysków, trzecia dla kąpeli szafkowych parowych i rzymskich, czwarta dla koców i przyrządów ochładzających (na głowę, szyję, okolice serca itp.)*. Oddział pozostawał pod nadzorem lekarskim Zygmunta Grudzińskiego. Dziennie przeprowadzano tam 200 zabiegów, a w samym roku 1906 było ich około 12 tysięcy. Zgodnie z relacją wuja zabiegi hydropatyczne u niektórych chorych mogły być traktowane jako uzupełniające, u innych, którzy cierpieli na czynnościowe

zaburzenia nerwowe (np. neurastenia czy histeria) lub zaburzenia przemiany materii (jak otyłość) była to podstawowa metoda leczenia, a wreszcie ... *jeszcze inni chorzy, na przykład cierpiący na zołży lub artretyzm, powikłane objawami nerwowymi, newralgiami i.t.p. potrzebują umiejętnego połączenia kuracji kąpielowo-solankowej z kuracją hydropatyczną*. Dla wyjaśnienia śpieszę zaznaczyć, iż w ówczesnym piśmiennictwie medycznym terminem „zołża” określano przewlekłą gruźlicę węzłów chłonnych szyi, występującą głównie u dzieci żyjących w złych warunkach higienicznych.

W sobotnim numerze z dnia 3 sierpnia 1907 roku Zygmunt Grudziński pisał o koloniach letnich dla dzieci w Ciechocinku. Tekst ukazał się na ćwierćwiecze istnienia Towarzystwa Kolonii Letnich, założonych w Warszawie przez znanego społecznika i lekarza Stanisława Markiewicza (1839–1911). Dzieci z przedmieścia większych miast, pochodzące z niezamożnych rodzin wysyłano w różne regiony kraju. W przypadku kolonii letnich organizowanych w Ciechocinku były to często ... *dzieci dotknięte silną krzywicą, skrofułami, gruźlicą kości i stawów, reumatyzmem, paraliżem i.t.p. cierpieniami, które prócz wiejskiego powietrza i higienicznych warunków potrzebują jeszcze i leczenia kąpielami...*

Na kolonie te przyjeżdżało ...rocznie 400 dzieci, z których połowa jest katolickich, a połowa żydowskich. Lato licząc od 20 maja do 20 września dzieli się na cztery sezony i na każdy sezon przyjeżdża po stu dzieci. W pierwszym i ostatnim sezonie przyjeżdżają dziewczynki, a w drugim i trzecim chłopcy. Tym oto sposobem organizatorzy minimalizowali kłopoty związane z okresem dojrzewania. ... Głównymi opiekunami kolonii są lekarze, połową katolicką opiekuje się obecnie dr Grudziński, dziećmi żydowskimi opiekuje się dr Tanenbaum.

Kandydatów na takie kolonie było bardzo dużo, stąd wyborem dzieci zajmował się zarząd towarzystwa kolonii. Ale tylko niewielka liczba chętnych mogła się na nich znaleźć. Wuj opisał również, jak wyglądała opieka nad małymi kuracjuszami w czasie tych 4 tygodni. *Po przyjeździe na kolonie dzieci zostają ważone i podlegają oględzinom lekarza, który przepisuje kąpiele, naznacza dietę, tryb życia, lekarstwa i wszystko co do kuracji jest potrzebne. Dzieci otrzymują cztery razy dziennie obfity posiłek, prócz tego piją mleko, ile tylko mogą i mają ochotę. Prócz leczenia (kąpiele, picie solanki, masaż) dzieci spędzają czas na spacerach, grach, śpiewach chóralnych pod kierunkiem dozorczyń...* Nie byłbym zdziwiony, gdyby po 4 tygodniach subiektywna ocena satysfakcji dzieci z tej opieki była bardzo pozytywna. Istniały też – o czym wuj wspomina – obiektywne elementy poprawy stanu zdrowia. *Przed wyjazdem z powrotem do Warszawy dzieci są również ważone; o wynikach pobytu w Ciechocinku najlepiej świadczy ich przyrost na wadze. Okazuje się, że przeciętnie przybywa dzieciom w ciągu czterech tygodni po 6 do 12 funtów. Dzieci tak przywiązują się do kolonii, że prawdziwa rozpacz i żal ogarnia je, kiedy czterotygodniowy sezon ma się ku końcowi i muszą powracać do domu, aby ustąpić miejsca swoim następcom.* Kończąc artykuł, wuj podsumowuje go w duchu pozytywistycznym: *...wyniki leczenia są zwykle olbrzymie: ze skartłowaciałych, ułomnych i kalek wytwarza kolonia zdrowe dzieci, mogące pracować, uczyć się i wyrastać na pozytywne członków społeczeństwa.*

Zygmunt Grudziński praktykował w Ciechocinku co najmniej do 1911 roku. Wiadomo, iż w tym roku od 5 do 15 sierpnia miała miejsce wystawa fotograficzna, której był inicjatorem, urządzona przez Towarzystwo Przyjaciół Ciechocinka w sali balowej starego dworca kolejowego.

ZYGMUNT GRUDZIŃSKI I RENTGENOLOGIA

Zygmunt Grudziński zaczął pracować w klinice chorób wewnętrznych w Warszawie, a jednocześnie udzielał się jako lekarz zdrojowy w Ciechocinku jako kierownik Oddziału Hydropatycznego. Istniejąca linia kolejowa z Warszawy do Aleksandrowa Kujawskiego i Ciechocinka pozwalała na łączenie obu tych miejsc pracy. Coraz bardziej zaczęła go również interesować raczkująca dziedzina medycyny jaką stawała się radiologia. Niewątpliwie miały na to wpływ jego zainteresowania fotografią i żywe kontakty ze środowiskiem fotografów. Można się zastanawiać, co było pierwsze



Doktor Grudziński w domowym gabinecie.

w nowych pasjach Zygmunta: czy fotografia pchnęła go w kierunku rentgenologii, czy też odwrotnie – jako lekarz zainteresował się nowinkami technicznymi, w tym rentgenologią, a to sprawiło, iż zakupił swój pierwszy aparat fotograficzny. W tym czasie w Warszawie czynny był już pierwszy aparat rentgenowski w Szpitalu św. Ducha, zaś na posiedzeniach Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego prezentowano pierwsze przypadki własnych doświadczeń w nowej dziedzinie.

Na początku XX wieku w zaborze rosyjskim nie było żadnych regularnych szkoleń z zakresu rentgenologii. Aby gruntownie nauczyć się tej dziedziny, trzeba było wyjeżdżać do renomowanych ośrodków. Zygmunt Grudziński jeździł do ośrodków w Niemczech i Austrii, gdzie wielu znakomitych profesorów dzieliło się swoimi doświadczeniami z przybywającymi na praktykę adeptami nowej gałęzi medycyny. Był w Hamburgu, gdzie uczył się u Heinricha Albers-Schönberga (1865–1921), który zwracał uwagę na instalowanie urządzeń zabezpieczających przed nadmierną ekspozycją promieniowania X, zaś w 1905 roku był jednym z założycieli Niemieckiego Towarzystwa Radiologicznego. Trafił też do Maxa Levy-Dorna (1863–1929) w Berlinie, zaś w Wiedniu uczył się u Guido Holzknachta (1872–1931) oraz jego młodszego kolegi Martina Haudeka (1880–1931).

W pierwszych latach wprowadzania do praktyki lekarskiej aparatów rentgenowskich stosowano długie czasy obserwacji, co skutkowało dużymi dawkami promie-



**„Portret P. St. W.” (Stanisławy Wiland) – autorstwa Z. Grudzińskiego,
publikowany w „Fotografie Warszawskim” – 1910/12.**

niowania X, jakie otrzymywali chorzy. Nawet kilkusetkrotnie przekraczały one dawki, jakie obecnie aplikuje się pacjentom w takich samych badaniach. Niektórzy lekarze, wykonujący te badania, byli sceptyczni co do szkodliwości promieniowania X. Ale następne lata pokazały, iż byli w błędzie. Trzech spośród czterech znakomitych kolegów radiologów, u których nabierał doświadczenia Zygmunt Grudziński, znalazło się na liście lekarzy i naukowców z 23 krajów, którzy zmarli z powodu choroby związanej z nadmierną radiacją. Poświęcono im pomnik znajdujący się na terenie Szpitala św. Jerzego w Hamburgu. Wśród tych osób wymieniona jest nasza rodaczka Maria Curie-Skłodowska. (https://de.wikipedia.org/wiki/Ehrenmal_der_Radiologie).

Wuj starał się jeździć do renomowanych ośrodków radiologicznych w okresie ferii zimowych, kiedy uzdrowisko w Ciechocinku było zamknięte. Gdy już nabrał doświadczenia w dziedzinie rentgenologii – przeniósł się po 1911 roku na stałe do Warszawy. Porzucił tzw. „praktykę zdrojową” i rozpoczął prywatną praktykę głównie jako radiolog (wspólnie z dr. Grzegorzem F. Drozdowiczem). Jako swój adres zamieszkania podał ulicę Nowogrodzką pod numerem 31. W roku 1914 został powołany na stanowisko rentgenologa w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze. Gdy wybuchła wojna, wielu jego kolegów-lekarzy, w tym i rentgenolodzy, dostało powołanie do służby wojskowej w armii rosyjskiej. Z tego powodu Zygmunt Grudziński zastępował przez 4 lata swojego kolegę Zygmunta Stankiewicza (1887–1940) w Pracowni Szpitala Dzieciątka Jezus.



Fot. Z. Grudziński

Adamina i Wiktoria *de domo* Brochockie.



Fot. Z. Grudziński

Zima w Krzykosach.

O moim wuju w czasie czerech lat wielkiej wojny wiem niewiele. Przez niemal rok linia frontu, która przebiegała na wschód od Kłodawy, sprawiała, że wyjazdy z Warszawy do rodzeństwa w Krzykosach czy Ciechocinku były niemożliwe. Dopiero po 5 sierpnia 1915 roku, kiedy wojska niemieckie wkroczyły do Warszawy, znów można było odwiedzać się wzajemnie. Każde z państw zaborczych zabiegało o zademonstrowanie, iż tylko ono popiera dążenia narodowe Polaków. Państwa centralne, czyli Niemcy i Austria, które w roku 1915 zajęły większą część ziem etnicznej Polski, starały się robić wrażenie, iż dążą do przyznania Polakom ograniczonej niepodległości. Nie istniała już carska cenzura, a w Warszawie pojawili się legionści Józefa Piłsudskiego. W tym czasie życie wracało tam do względnej normy. W 1917 roku odbył się pierwszy zjazd poświęcony Medycynie Wojskowej Polskiej. Donosi o tym „Nowa Gazeta” z dnia 3 lutego 1917 roku. ...*Przedpołudniowemu posiedzeniu Zjazdu przewodniczył dr Leon Kryński, który zaprosił do prezydyum dra Rogalskiego, naczelnika lekarzy Legionów i drów Mossakowskiego i Jakowickiego...* Na popołudniowym posiedzeniu dwa wykłady były ściśle związane z wojskiem i zdrowiem. Pierwszy z nich, wygłoszony przez dr. Mieczysława Kapelnera i dr. Jana Stopczańskiego, miał tytuł: *Choroby weneryczne w Legionach Polskich*, a drugim był wykład dr. Leona Wernica: *Choroby weneryczne w wojsku w czasie wojny i pokoju*. Na końcu serii referatów znalazł się pokaz ...*roentgenograficzny w sprawach działania pocisków i lokalizacji ich w ciele ludzkim dr Zygmunta Grudzińskiego. Na tle wygłoszonych referatów wywiązała się dyskusya, po której odczytano wnioski i powzięto odnośne uchwały...*Zjazd zamknął pięknym przemówieniem dr Leon Kryński o godz. 7 m 45.

LATA DWUDZIESTE XX WIEKU. UTWORZENIE POLSKIEGO TOWARZYSTWA RADIOLOGICZNEGO

W latach 1918–1920 Zygmunt Grudziński wykładał rentgenologię w szkołach dentystycznych Szymańskiego i Troppa. Nadal pracował na stanowisku rentgenologa w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze. Przez cały czas był również czynny jego prywatny gabinet radiologiczny. Zachował się odpis zaświadczenia z Urzędu Skarbowego z roku 1924, w którym notariusz wymienia jako adres zamieszkania doktora ul. Wspólną 3 w Warszawie. Dom ten, jak, i cały fragment ulicy, nie zachował się do naszych czasów, gdyż na powojennych ruinach Warszawy zbudowano tam wielki gmach, mieszczący obecnie Ministerstwo Aktywów Państwowych.

Zygmunt sporo czasu poświęcał pracy naukowej, czego wyrazem było uzyskanie w 1922 roku dyplomu doktora medycyny. Łącznie ogłosił drukiem około 70 prac naukowych w zakresie tzw. rentgenologii klinicznej, jak i innych zagadnień klinicznych. Pierwszą swoją pracę „Przypadek tężyczki” opublikował w czasopiśmie „Medycyna” już trzy lata po skończeniu studiów (w 1900 roku). Z kolei jego pierwsza praca



Fot. Z. Grudziński

Leonia na ławce w ogrodzie.



Fot. Z. Grudziński

Stefania przed pałacem.



Fot. Z. Grudziński

Krzykosy – spojrzenie na wieś.



Fot. Z. Grudziński

Na bagnach w Krzykosach.



Fot. Z. Grudziński

Z nurtem Rgilewki.

z dziedziny radiologii została opublikowana w roku 1913 w „Medycynie i Kronice Lekarskiej”, czasopiśmie o formacie tygodnika adresowanym do lekarzy praktyków. Poświęcona była zagadnieniu złogów i zwapnień ze stanowiska rentgenologii. W tym samym roku wuj opublikował na łamach tego czasopisma swoje spostrzeżenia z uczestnictwa w IX Zjeździe Roentgenologów Niemieckich w Berlinie oraz omówił możliwości badania radiologicznego w zwężeniach przełyku. Był ekspertem w dziedzinie zmian radiologicznych układu oddechowego oraz przewodu pokarmowego, stąd też został zaproszony na współautora książek temu poświęconych.

W roku 1925 miał się odbyć XII Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich. Do Komitetu Zjazdowego wszedł również Zygmunt Grudziński. Przy jego niesamowitej aktywności i skuteczności w działaniu nie można się dziwić, iż w trakcie tego zjazdu potrafił przekonać swoich kolegów w Komitecie Zjazdowym do potrzeby powstania w Polsce towarzystwa radiologicznego. Jego starania osiągnęły realny kształt. Radiologia miała być po raz pierwszy reprezentowana jako odrębna sekcja. Mógł się powołać na doświadczenia swoich kolegów z zagranicy, np. Heinricha Albers-Schönberga (1865–1921), który już w roku 1905 stał się jednym z założycieli Niemieckiego Towarzystwa Radiologicznego. Zjazd odbył się w dniach od 13 do 15 lipca 1925 roku w Warszawie. Z inicjatywy mojego wuja – wspieranej przez kolegów radiologów z Warszawy – w trakcie trwania Zjazdu powstało Polskie Towarzystwo Radiologiczne (PTR). Jego założycielami byli Zygmunt Grudziński, Adam Elektorowicz i Stanisław Gądek.



Fot. Z. Grudziński

Pojenie krów w Rgilewce.

Na zjeździe podjęto inicjatywę utworzenia czasopisma radiologicznego. Przyjęty początkowo tytuł „Polskie Archiwum Radiologiczne” zmieniono dwa lata później na „Polski Przegląd Radiologiczny”. Dr Grzegorz Drozdowicz, któremu zaproponowano stanowisko redaktora naczelnego czasopisma, zrzekł się tej funkcji i ostatecznie powierzono ją Zygmunutowi Grudzińskiemu. Na walnym zebraniu wysunięto również wniosek, aby rozpocząć prace nad redakcją „Słownika Radiologicznego”. Zgodnie z uchwałą powierzono redakcję tego słownika również mojemu wujowi. On z kolei powołał szerszą komisję osób kompetentnych w tej dziedzinie. Prace nad słownikiem trwały niemal przez 8 lat, zaś wuj zaprosił później do jego współredagowania Zygmunta Stankiewicza. W wersji finalnej słownik obejmował diagnostykę i terapię rentgenologiczną, fizykę, technikę i biologię promieni, fotografię, radolecznictwo i światłolecznictwo. Został wydany pod tytułem „Polski Słownik Lekarski Radjologiczny i Światłoleczniczy”. Składał się z dwóch części: pierwsza zawierała tłumaczenie wyrazów obcych na język polski, druga – wyrazów polskich na języki obce jak łaciński, niemiecki, francuski i angielski.

W skład wybranego zarządu PTR weszli sami lekarze, co miało znaczenie dla kierunku działań Towarzystwa. Prezesem został wybrany prof. Karol Mayer z Poznania, który był pierwszym profesorem na ziemiach Polski zajmującym się radiologią. Pierwszym wiceprezesem został Zygmunt Grudziński z Warszawy, drugim wiceprezesem dr Bronisław Sabat ze Lwowa, zaś sekretarzem Adam Elektorowicz. Wśród członków zarządu znalazł się bliski kolega wuja Zygmunt Stankiewicz, którego wuj zastępował przez kilka lat w Pracowni Szpitala Dzieciątka Jezus.



Fot. Z. Grudziński

Leonia w parku (kartka pocztowa).

Rozpoczęła się żywa działalność PTR. Liczba członków stale rosła, zwłaszcza w oddziale terenowym w Warszawie, gdzie w roku 1929 było ich 58 na 110 osób zapisanych ogółem do Towarzystwa. Było to zasługą Zygmunta Grudzińskiego. Profesor Mayer mieszkał w Poznaniu, z dala od Warszawy, i mój wuj musiał wziąć na swoje barki dużą część obowiązków nieobecnego prezesa. Pisał listy do zagranicznych towarzystw radiologicznych, reprezentował towarzystwo wobec władz i innych towarzystw lekarskich czy też przygotował statut i uzyskał jego zatwierdzenie. Wiele wysiłku wkładał w sprawy redakcyjne nowo utworzonego pisma, które wymagało szczególnie dokładnych ilustracji i zdjęć. Żył na pełnych obrotach. Pracował w szpitalu, dużo czasu zajmowała mu rozwijająca się praktyka prywatna. A przede wszystkim ważny był dla niego dalszy rozwój naukowy. W roku 1926 habilitował się i został docentem Uniwersytetu Warszawskiego. Stał się pionierem nauczania radiologii na tym uniwersytecie.

Dnia 21 października 1926 roku wygłosił inauguracyjny wykład pt. *Krótki zarys dziejów radiologii w Polsce i za granicą*, którego treść została później opublikowana na łamach „Polskiego Przeglądu Radiologicznego” (1927, II, 1, 46–56). Swój wykład zaczął od stwierdzenia, iż ...warunki rozwoju radiologii lekarskiej w Polsce stanowią

rażącą anomalię... Podczas kiedy różne inne gałęzie medycyny, zarówno teoretyczne jak i praktyczne, korzystają ze wszystkich dobrodziejstw opieki państwowej, posiadają katedry, profesorów, zakłady państwowe, w których ogniskuje się ruch naukowy na odnośnym polu, rentgenologia, ta jedna z największych, choć najmłodszych specjalności lekarskich, nauka, z którą każdy z lekarzy, niezależnie od specjalności spotyka się na każdym kroku swej działalności, której rozwój na całym świecie idzie krokami wprost olbrzymiemi, która dzisiaj jest niezaprzeczalnie oddzielną, samą w sobie poważną dyscypliną naukową, obejmującą tak wielki zakres i posiadającą tak wielką literaturę naukową, że na ogarnięcie jej nie wystarcza już dzisiaj wytężona praca i życie jednego człowieka – ta nauka jest dotychczas u nas przedziwnym zbiegiem okoliczności, jakimś zapomnianym, niekiedy wprost złośliwie pomijanym kopciuszkiem.

Zajmował się szczegółowo analizą wykorzystywania radiologii przez inne dyscypliny kliniczne [Grudziński Z. *O warunkach rozwoju radiologii lekarskiej w Polsce i jej nauczaniu na wydziałach lekarskich*, „Polski Przegląd Radiologiczny” 1928, III, 39–49]. W artykule opublikowanym w „Polskim Przeglądzie Radiologicznym” w roku 1928 stwierdził gorzko: ... największy wreszcie odsetek lekarzy polskich nie trudził się i nie trudzi zapoznawaniem się z zasadami radiologii lekarskiej i albo nie korzysta w swej działalności wcale z jej usług, albo ogranicza się na odczytywaniu orzeczeń fachowców i skierowaniu do nich swoich chorych w celach rozpoznawczych i leczniczych. Miał również krytyczny stosunek do sposobu kierowania na badania rentgenowskie. Pisał: ... wielu jest takich lekarzy w Polsce, którzy nie znają nawet wskazań do zabiegów rozpoznawczych i leczniczych w dziedzinie radiologii i nie wiedzą co ona dać im może. Jedną z jego prac, cieszącą się dużym uznaniem w świecie lekarskim, było opracowanie dokładnego umiejscawiania ciał obcych metalicznych w gałce ocznej metodą nakładania schematów. Opublikowano ją w roku 1929 w Klinice Ocznej. Zgodnie ze wspomnieniem o Zygmuncie Grudzińskim, wygłoszonym w roku 1970 przez jego przyjaciela Witolda Zawadowskiego, metoda umiejscowienia ciał obcych w oku nadal była stosowana i przez 40 lat wytrzymała próbę czasu.

Pomimo licznych zajęć w ojczyźnie Zygmunt Grudziński znajdował czas na udział w zjazdach naukowych w wielu krajach, gdzie omawiano sprawy radiologii. Zachowały się w moich zbiorach zdjęcia, z których wynika, iż w czasie Kongresu Urologicznego w Brukseli w roku 1927 mogły mu towarzyszyć żona Wanda i siostra Stefania Wiland. Rok wcześniej opublikował na łamach „Polskiego Przeglądu Radiologicznego” wrażenia i uwagi z II Międzynarodowego Kongresu Radiologicznego w Sztokholmie.

Na następnym Walnym Zebraniu Delegatów PTR w roku 1927 Zygmunt Grudziński zdecydował się jedynie na pracę redaktora i nie pełnił innych funkcji w Zarządzie Polskiego Towarzystwa Radiologicznego, którego nazwę zmieniono na Polskie Lekarskie Towarzystwo Radiologiczne (PLTR). Na wniosek Zygmunta przyjęto wtedy uchwałę: *Walne Zebranie PLTR dla podniesienia powagi radiologii polskiej i w celu skrócenia dyktantyzmu, panującego wśród adeptów radiologii, wzywa wszystkich kierowników pracowni radiologicznych w Polsce, aby do czasu wydania odnośnych przepisów państwowych nie wydawali świadectw z ukończenia praktyki rentgenologicznej w ich zakładach*



Fot. Z. Grudziński

Leonia przy studni.

adeptom tej specjalności, prędzej niż po roku praktyki, a świadectw do umiejętności samodzielnego kierowania pracownikami nie prędzej jak po dwóch latach praktyki pracowniczej.

Na początku 1929 r. obok Grudzińskiego funkcję redaktora „Polskiego Przeglądu Radiologicznego” objął Witold Zawadowski. XIII Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich odbył się w Wilnie w dniach 26–29 września 1929 roku. Brali w nim udział, jako odrębna sekcja tego zjazdu, członkowie PLTR. Obrady II Zjazdu Ogólnego PLTR odbyły się 26 września 1929 roku. Na zebraniu w nowej kadencji Zygmunt Grudziński został jednogłośnie wybrany prezesem PLTR, a jednocześnie nadal piastował funkcję redaktora czasopisma wraz z Wiktorem Zawadowskim.

PRZERWANA NIĆ

Zygmunt Grudziński sprawował funkcję prezesa PLTR przez niespełna miesiąc. Umarł w 59 roku życia 24 października 1929 roku z powodu powikłań po błahym zakażeniu grypowym. Według jego współpracownika Witolda Zawadowskiego... *przyczyną powikłań była najprawdopodobniej zmniejszona ogólna odporność organizmu wywołana długoletnią intensywną pracą w zasięgu promieniowań w warunkach*

niekorzystnej ochrony radiologicznej. W początkach działalności Zygmunta Grudzińskiego ochrona radiologiczna prawie nie istniała, a w latach późniejszych ciągle jeszcze normy ochrony były niedostateczne.

Następnego dnia po śmierci Zygmunta w kancelarii parafii św. Aleksandra złożono następujące oświadczenie: *Działo się w Warszawie, w Kancelarii Parafii św. Aleksandra, dnia dwudziestego piątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, o godzinie dziewiątej rano. Stawili się: Mieczysław Adamski, kupiec i Stanisław Wojciechowski, woźny, pełnoletni, w Warszawie zamieszkali i oświadczyli, że wczoraj o godzinie pierwszej popołudniu, w Warszawie przy ulicy Wspólnej pod numerem trzecim „a” zmarł Zygmunt Grudziński, żonaty, doktor medycyny, liczący lat pięćdziesiąt dziewięć, urodzony w Łęczycy, syn Michała i Adaminy z Brochockich, małżonków Grudzińskich, pozostawiwszy żonę Helenę z domu Kraft. Po przekonaniu się o śmierci Grudzińskiego akt niniejszy po odczytaniu przez Nas i stawiających się podpisany został.*

Niżej na akcie widniały podpisy obu świadków i nieczytelny podpis osoby spisującej akt zgonu. Zygmunt zmarł w swoim domu. Jakże dotknęły go powikłania po zakażeniu grypowym, trudno powiedzieć. Czy było to coś zupełnie niespodziewanego, skoro nie został hospitalizowany np. w swoim własnym szpitalu, czy też mogły to być



Fot. Z. Grudziński

Stefania w sieni dworku.



Fot. Z. Grudziński

Tężnie w Ciechocinku.

następstwa wcześniej rozpoznanej ciężkiej choroby, będącej skutkiem narażenia na promieniowanie radiologiczne – i właśnie dlatego był leczony w domu przez swoich kolegów, jak wspomniano w mowie pogrzebowej? Tego nie sposób odtworzyć po tylu latach i przy braku innych źródeł.

Zygmunt Grudziński został pochowany w odrębnym grobie na cmentarzu Powązkowskim, do którego pięćdziesiąt lat później złożono też jego znacznie młodszą żonę, Helenę Wandę Grudzińską (1890–1979). Ich małżeństwo było bezdzietne. W ogłoszeniach „Kurier Warszawski” z dnia 30 października 1929 roku ukazało się podziękowanie od żony i rodziny dla tych, którzy oddali ostatnią posługę zmarłemu. Wymieniono w nim szereg instytucji, z którymi Zygmunt Grudziński był związany: Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawskie Towarzystwo Lekarskie, Szpital Przemienienia Pańskiego, Polskie Lekarskie Towarzystwo Radiologiczne, Koło Pracowników Rentgenologicznych Szpitali Miejskich. Szczególne podziękowania złożono dziekanowi profesorowi K. Orzechowskiemu, Naczelnemu Lekarzowi Szpitala Przemienienia Pańskiego, dr. K. Zielińskiemu i dr. W. Zawadowskiemu za

serdeczne przemówienia oraz kolegom lekarzom za troskliwą opiekę podczas choroby i wszystkim, którzy uczcili pamięć zmarłego. Został też utworzony fundusz im. ś.p. dr. Zygmunta Grudzińskiego, będący w dyspozycji Zarządu Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego. Na jego poczet wpłaty zostały ofiarowane przez żonę, matkę i rodzeństwo oraz licznych przyjaciół i znajomych.

W czwartek 31 października (w tydzień po śmierci Zygmunta) w kaplicy Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze odbyła się msza święta za jego duszę. We wspomnieniach pośmiertnych opublikowanych na łamach „Kuriera Warszawskiego” z dnia 4 listopada 1929 roku, spisanych przez jednego ze współpracowników doktora, można znaleźć następujące słowa: *...Rozległa i rzetelna wiedza, krytyczny zmysł spostrzegawczy wysunęły zmarłego na czoło rentgenologów polskich. Swem bogatym doświadczeniem klinicznym podzielił się z ogółem lekarskim, ogłaszając około 70 różnych prac, głównie z dziedziny rentgenologii klinicznej. Nie odmawiał swego udziału w żadnej pracy publicznej, dawał ją chętnie i ofiarnie. Ujmujący i pogodny charakter jednał mu serca wszystkich, którzy się z nim stykali. Wytwarzał dookoła siebie atmosferę harmonijnego współdziałania... Ze śmiercią ś. p. Zygmunta Grudzińskiego ubył nam z pola pracy publicznej nieoceniony pracownik o mocnym nakazie wewnętrznym pracy dla dobra publicznego.*

Wspomnienie pośmiertne autorstwa Zygmunta Stankiewicza ukazało się również w organie PLTR „Polskim Przeglądzie Radiologicznym”. W dniu 9 listopada 1929 roku odbyło się posiedzenie Zarządu Głównego PLTR, które wobec śmierci prezesa musiało wybrać jego następcę. Został nim profesor Adam Elektorowicz. Na tymże posiedzeniu – mając na względzie nieprzemijające zasługi, jakie uczynił mój wuj dla całego środowiska polskich radiologów – postanowiono uczcić to wprowadzeniem na stronie redakcyjnej pisma stałego zapisu o następującym brzmieniu *Polski Przegląd Radiologiczny, organ Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego założony przez doc. Dra Zygmunta Grudzińskiego*. Uchwała ta ma ważność trwałą, jest obecnie i będzie w przyszłości respektowana.

W 1929 roku otwarto pierwszą indywidualną wystawę fotograficzną Zygmunta Grudzińskiego. Nie doczekał jej – zmarł trzy dni przed otwarciem ekspozycji.

W pół roku po śmierci swego syna (16 czerwca 1930 roku) w wieku 88 lat umarła w Krzykosach Adamina z Brochockich Grudzińska, moja prababcia. W nekrologu podpisanym: *córki, synowie, zięciowie i wnuki*”, można przeczytać, iż *„Eksportacja zwłok z domu w Krzykosach odbędzie się w dniu 17 czerwca o godz. 18-ej. Nabożeństwo żałobne będzie odprawione w dniu 18 b.m. w Warszawie w kościele Karola Boromeusza na Powązkach, po skończeniu którego nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz miejscowy do grobu rodzinnego.*

Po śmierci Zygmunta, zgodnie z przepisami o opodatkowaniu spadków i darowizn na obszarze b. zaboru rosyjskiego (2.06.1920), Izba Skarbowa wysłała do wdowy po nim, Wandy Grudzińskiej, nakaz płatniczy, gdzie w pozycji aktywa wymienia m.in. wartość majątku Krzykosy w powiecie kolskim, który miał mieć 898 morgów. Z budynkami oraz inwentarzem żywym i martwym został wyceniony na kwotę 222 047

złoty., Po śmierci Zygmunta żona Wanda (jak wcześniej on) była w posiadaniu 20% części tego folwarku. Ponadto do Zygmunta Grudzińskiego należała połowa zakładu rentgenologicznego w Warszawie przy ul. Wspólnej 3 a, czyli w miejscu jego zamieszkania, wyceniona w całości na 37 500 złotych, zaś urządzenie mieszkania miało być warte 19 500 złotych.

Po śmierci wuja kontynuowano pracę nad „Polskim Słownikiem Lekarskim Radiologicznym i Światłolecznicznym” w kilku językach. Pałeczkę redaktora naczelnego przejął jego przyjaciel Zygmunt Stankiewicz (1887–1940). W roku 1933 dzieło to zostało opublikowane. Wśród innych autorów wymienić należy m.in. Edwarda Brunera, Jana Babickiego i Witolda Zawadowskiego.

W kilka lat później Zygmunt Stankiewicz, który we wrześniowej kampanii 1939 roku służył w wojsku, został wzięty do niewoli przez Rosjan, a rok później zamordowany w Katyniu.

Inny bliski współpracownik mojego wuja na polu radiologii, dr Wiktor Zawadowski (1888–1980), habilitował się w 1933 roku. Brał udział w kampanii wrześniowej jako komendant szpitala ewakuacyjnego. Został wzięty do niewoli sowieckiej, ale udało mu się uciec i uniknąć niechybnej śmierci. W okupowanej przez Niemców Warszawie Zawadowski pracował w Szpitalu Ujazdowskim. Po wojnie od roku 1947 do 1970 – wyjąwszy dwuletnią przerwę – pełnił funkcję Prezesa PLTR.

W dniu 24 maja 1970 roku, w stulecie urodzin swojego przyjaciela, wygłosił na 74 zebraniu Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny wykład pt. *Zygmunt Grudziński, zasłużony radiolog polski i założyciel „Polskiego Przeglądu Radiologicznego”*. Pod tym samym tytułem jego artykuł ukazał się w „Archiwum Historii Medycyny” 1970, XXXIII, 209–213. Profesor Zawadowski wspomina w nim, iż *...Zakład Radiologii Akademii Medycznej w Warszawie uczcił pamięć zasłużonego pioniera nowej gałęzi medycyny nazwaniem jednej z sal diagnostycznych salą Zygmunta Grudzińskiego, pierwszego docenta radiologii lekarskiej w Warszawie, o czym głosi wmurowana nad drzwiami tej sali marmurowa tablica.*

Prof. Zawadowski zakończył wyżej wspomniany wykład retorycznym pytaniem:

A czy jest to już dostateczne uczczenie zasług i osiągnięć zmarłego czterdzieści lat temu pierwszego docenta radiologii w Warszawie?

Przewodnik po osobach z rodziny Grudzińskich i Wilandów ujętych
w porządku alfabetycznym.

Adamina Marianna Grudzińska z domu Brochocka (1842 – 15.06.1930) – matka Zygmunta

Aleksander Franciszek Grudziński (17.03.1872 – 13.06.1961) – brat Zygmunta

Helena Wanda Grudzińska, córka Bronisława Kraffta i Józefy z domu Duninów (19.02.1890 – 11.09.1979) – żona Zygmunta

Irena Marcela Grudzińska, córka Jana Florianą Kobosa i Jadwigi Bronisławy z domu Krafft, (16.01.1903 – 11.07.1989) – żona Władysława Grudzińskiego

Leonia Feliksa Grudzińska, po 1925 roku Kuńczyńska (11.04.1887 – 11.02.1956) – siostra Zygmunta, żona Wacława Kunczyńskiego

Michał Grudziński (1833 – 23.05.1913) – ojciec Zygmunta

Stefania Maria Grudzińska (10.07.1875 – 22.09.1946) – siostra Zygmunta, żona Bronisława Wilanda, moja babcia

Tatiana Grudzińska (zm. 1938) żona Aleksandra

Władysław Adam Grudziński (23.11.1880 – 8.12.1953) – brat Zygmunta

Zygmunt Grudziński (1870 – 24.10.1929) – bohater tej opowieści

Bronisław Teodor Wiland (28.10.1874 – 5.11.1932), mąż Stefanii z domu Grudzińskiej, ojciec Michała Wilanda, mój dziadek

Michał Wiland (13.07.1913 – 14.08.2004) – syn Bronisława i Stefanii Wiland z domu Grudzińskiej, mój ojciec.

Stefan Wiland (1879 – 4.05.1967) – brat Bronisława Wilanda, syn Jana.



Fot. Z. Grudziński

**Michał i Adamina Grudzińscy na zdjęciu wykonanym przez syna Zygmunta
– Krzykosy ok. 1900 r.**

Nieuleczalna pasja Zygmunta Grudzińskiego

Nie wiemy dokładnie, w jakich okolicznościach Zygmunt Grudziński rozpoczął swoją artystyczną przygodę z fotografią. Teoretyczne i techniczne aspekty tego zainteresowania, o czym przekonuje na sąsiednich łamach jego cioteczny wnuk Piotr Wiland, miały niewątpliwie związek ze studiami medycznymi, a następnie z praktyką lekarza radiologa. Ale nie można wykluczyć, że fotograficzne fascynacje oraz ścieżki wiodące do artystycznych sukcesów dra Zygmunta miały swój początek w latach gimnazjalnych. To dobry czas dla ludzi wszechstronnie uzdolnionych, wrażliwych i ciekawych świata.

Po naukowcach – z końcem XIX w. – fotografią zainteresowali się artyści, którzy, jak zauważył Robert de la Sizeranne w przedmowie do „Estetyki Fotografii”, narzędzia oraz sposoby naukowe przekształcili i zastosowali do celów własnych. Dzięki temu „narzędzie stało się gotowem do przyjęcia duszy”.

Jak zauważa badacz dziejów polskiej fotografii Ignacy Płazewski, dr Grudziński był jednym z najstarszych stażem członków Towarzystwa Fotograficznego Warszawskiego (TFW), do którego zapisał się już w roku jego założenia – 1901. Pierwszym prezesem tej organizacji był Władysław Marconi, wybitny polski architekt i konserwator, człowiek o wielu zdolnościach i zainteresowaniach: współzałożyciel Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, a także Koła Architektów, organizator licznych komitetów i przedsięwzięć społecznych, w tym budowy pomnika Mickiewicza.

Marconi, mając wpływ na wyznaczenie celów i form pracy towarzystwa, sprawił, że wpisywały się one w pozytywistyczne koncepcje służby ojczyźnie, były bliskie misjom organizacji społecznych, w których wcześniej lub równolegle pracował. Jego autorytet niewątpliwie przyciągał do TFW wiele wybitnych osobowości ze sfer intelektualnych Warszawy i nie tylko Warszawy. W 1904 r. honorowe członkostwo WTF przyjęła Maria Skłodowska-Curie. W tym samym roku ukazał się pierwszy numer „Fotografa Warszawskiego”, miesięcznika, który zaprezentował szerszemu gronu odbiorców dzieła wybitnych polskich fotografików ówczesnej doby, wśród nich Jana Bułhaka z Wilna, uważanego za nestora polskiej fotografii artystycznej. Na łamach pisma gościły prace wielu autorów spoza Królestwa Polskiego, co świadczyło, że ambicją twórców miesięcznika było oddziaływanie na środowisko fotografów ze wszystkich ziem polskich. Potwierdzeniem tych celów była w 1907 r. zmiana nazwy organizacji na Polskie Towarzystwo Miłośników Fotografii. Tym samym formalnie



Fot. Z. Grudziński

Michał Grudziński przy biurku.



Zygmunt Grudziński (z prawej) z kolegami.

rozszerzyła ona swą statutową działalność poza Warszawę, co niewątpliwie decydowało o znaczeniu i rozmachu kolejnych przedsięwzięć, m.in. i tych realizowanych z udziałem Zygmunta Grudzińskiego.

Jego prace dość regularnie pojawiały się na łamach „Fotografa Warszawskiego”. Niesłusznie większość historyków sztuki kojarzy je głównie z artystycznym aktem kobiecym, który niewiele różnił się od klasycznego studium portretowego. Wśród publikowanych w miesięczniku TFW fotografii Grudzińskiego znajdujemy znaczny wachlarz godnych uwagi tematów.

Koniec pierwszej dekady XX w. był dla artysty dobrym czasem także w innych dziedzinach. Spełniał się w pracy zawodowej, był cenionym lekarzem, właścicielem pracowni rentgenodiagnostycznej w Warszawie i kierownikiem zakładu hydroterapii w Ciechocinku. Publikował w prestiżowych czasopismach liczne prace z zakresu nauk medycznych, planując zapewne rozwój kariery naukowej. Pomimo wielu obowiązków wciąż znajdował czas na swoje dwie wielkie pasje: podróże i fotografię, które były dla siebie nawzajem dopełnieniem i inspiracją. Wszystko to składało się na korzystny życiowy bilans w roku, w którym przypadały 40 urodziny artysty.

W zdjęciowych relacjach doktora z jego wędrówek po kraju lub z zagranicznych wojaży, odbywanych w tamtym czasie, dostrzegamy swobodę i pewność siebie, które znamionują znajomość twórczej materii. Z powagą traktował pozytywistyczne wezwania o uczestnictwo fotografa w dokumentowaniu polskiego pejzażu, zabytków, folkloru oraz umacnianiu narodowej tożsamości, ale kształtował w tym zakresie własne zainteresowania i styl artystyczny.

Był fotografem aktywnym, nieustannie poszukującym nowych tematów i rozwiązań warsztatowych, a zarazem konsekwentnym w doskonaleniu ulubionych motywów. Jednym z nich, często pojawiającym się w jego pracach, jest woda, a ściślej – rzeka. Rzeka konkretna np. Wisła w Ciechocinku czy w Warszawie, Bug na Polesiu, Rgilewka (dopływ Warty) w Krzykosach oraz rzeka, która niesie w swoim obrazie dodatkowe znaczenia i w ten sposób staje się nie tylko obiektem ujęcia, ale metaforą.

Metafory akwaticzne są bardzo pojemne i od wieków towarzyszą sztuce. Odnoszą się do zasadniczych pojęć z zakresu filozofii, takich jak początek bytu czy zasada zjawisk. Woda jest w nich źródłem i środowiskiem życia, materią, która nas tworzy, wzmacnia i oczyszcza. Grudziński jako znawca wodolecznictwa, wiedział o tym najlepiej. Obrazy rzek, które tak chętnie fotografował, stawały się składnikami przenośni artystycznych przypominających o naszym związku ze światem natury. Każdy powinien mieć swoją rzekę, chociażby po to, aby na nowo, po swojemu, odczytać myśl Heraklita: *panta rhei*. Miał swoje rzeki również Grudziński: szeroką Wisłę i niewielką Rgilewkę, nad którymi spędził najowocniejsze lata swojego życia.

W Krzykosach, które były nie tyle gospodarstwem, ile wiejską rezydencją rodu Grudzińskich, mieszkali: jego rodzice, Michał i Adamina Grudzińscy, oraz jego siostry, Leonia i Stefania. Gniazdo rodzinne często odwiedzali bracia Zygmunta: Aleksander ze swoją żoną Tatianą oraz Władysław. Doktor Grudziński regularnie odwiedzał Krzykosy przy okazji uroczystości rodzinnych, świąt czy krótkich wakacji.



Pamiątkowy ryngraf wystawy fotograficznej
w Ciechocinku.

Był także ich współwłaścicielem. Tam, jak podczas każdej podróży, nie rozstawał się z aparatem fotograficznym. Dokumentował życie płynące w uroczym dworku własnym, spokojnym rytmem. Spacerując po okolicy utrwał wiejskie widoki czy sceny rodzajowe nad pobliską rzeczką. Po zamążpójściu siostry Stefanii, która poślubiła właściciela sąsiedniego majątku, bywał częstym gościem w pobliskim Lubońku – u Bronisławostwa Wilandów, jak się podówczas mawiało. Poszerzał przy okazji zdjęciową dokumentację rodzinnego życia i uwieczniał w kadrze okoliczne widoki. Ciesząc się obecnością bliskich sobie osób, puszczał wodze twórczej fantazji. Bawił się fotografią. Zapraszał członków rodziny i przyjaciół do udziału w subtelnie reżyserowanych zdjęciach krajobrazu czy

scenach kostiumowych, w których (co łatwo wywnioskować z zachowanych odbitek) niezawodnie mógł liczyć na wsparcie swojej młodszej siostry Leonii.

Redakcja „Fotografa Warszawskiego” doceniła wysoki poziom artystycznych poszukiwań dra Grudzińskiego. W 1910 roku jego zdjęcia reprodukowane były w kilku kolejnych numerach tego prestiżowego czasopisma. W grudniowym wydaniu, oprócz standardowej wkładki stanowiącej prezentację osobowości artystycznej miesiąca, pojawiło się kilka dodatkowych prac, oddających spektrum twórczych zdolności autora oraz jego relacje z bliskimi mu osobami.

Ekskluzywną wklejkę wypełniało znakomite „Studium portretowe”, w którym artysta uwiecznił swoją siostrę Leonię. Grudziński zaprezentował w nim opanowanie trudnego warsztatu, będącego domeną wybitnych przedstawicieli piktoralizmu. Portretowana postać została subtelnie „namalowana” dzięki umiejętnemu zastosowaniu miękkiego oświetlenia. Artysta wydobyl z mroku jedynie charakterystyczne elementy twarzy i postaci modelki. Ingerencja artystyczna, typowa dla tego rodzaju kompozycji, wiązała się zapewne z retuszem wygaszającym pewne szczegóły tła i konturów ciała.

Piktoralizm, z którym łączone są liczne prace Grudzińskiego, upowszechnił się w europejskiej fotografii na przełomie XIX i XX w., ale założenia tego ruchu artystycznego, zwanego później także „foto-secesją”, ogłosił już w 1869 roku w książce „Pictorial Effect in Photography” Anglik Henry Peach Robinson. Był on wyznawcą przekonania, że prawdziwy artysta powinien kreować swoje dzieło. Zamiast jednak eksperymentować z formą czy kompozycją, ma skupić się na fizycznej ingerencji w materiał źródłowy. Naśladowcy Peacha Robinsona dążyli do tego, by utrwalony ob-

raz zwierzał w sobie „więcej prawdy” niż zwykła „odbitka rzeczywistości”. Techniczna realizacja tego założenia sprowadzała się do takich zabiegów jak np. wykonywanie zdjęć z zastosowaniem małej głębi ostrości, co w połączeniu ze złożonymi procesami fotochemicznymi sprawiało, że otrzymane obrazy porównywano do malarstwa.

Przyglądając się niektórym pracom krajoznawczym Zygmunta Grudzińskiego, a także obrazom dokumentującym życie rodzinne, nabieramy przekonania, że równie sprawnie potrafił się włączyć w inny, przeciwstawny foto-secesji nurt artystyczny, czyli w stary dobry realizm. Należy pamiętać, że Zygmunt Grudziński był lekarzem radiologiem, a więc przedstawicielem zawodu korzystającego ze zdobyczy nowoczesnej fotografii w innym niż artysty celu. W medycynie dokładność i szczegół były kanonem profesjonalizmu, a tym samym odpowiedzialności za ludzkie życie. W sztuce realizm, choć niekiedy traktowany jako wyznacznik wartości, łączył się jedynie z postawą artystyczną – bez konsekwencji dla rzeczywistego świata z powodu błędów czy odstępstw od zasad.

Realiści zarzucali przedstawicielom foto-secesji, że poprzez swoją ingerencję zniekształcają utrwalaony obraz i oszukują odbiorcę. Tymczasem oglądając dobrze skomponowane i perfekcyjne pod względem ostrości, oświetlenia oraz wydobycia szczegółów „realistyczne” prace Grudzińskiego, zastanawiamy się, czy ich autor nie użył wobec nas drobnego podstępny – korzystnego dla ostatecznego efektu – nie w laboratorium, ale już wcześniej, na planie zdjęciowym.

We wspomnianym numerze 12 na stronie 179 znajduje się praca zatytułowana „Portret P. A. G.” (litery P. A. G. oznaczają: Panią Adaminę Grudzińską – mamę artysty). W tym obrazie, w przeciwieństwie do portretu z „wklejki”, ważny jest każdy szczegół, nawet na drugim czy trzecim planie. W centrum kadru znajduje się głowa portretowanej. Jej skupione spojrzenie kieruje naszą uwagę na spracowaną dłoń podtrzymującą krawiecką robótkę. W palcach drugiej ręki zapewne trzyma igłę. Zarysowana światłem przyciemniona sylwetka kontrastuje z jasnym tłem i rozproszonym blaskiem lampy – na tyle mocnym, by wydobyć liczne elementy obrazu. Artysta nie próbuje ani głębią ostrości, ani retuszem maskować zmarszczek na twarzy matki. Piękno jej surowych rysów podkreśla wysoko zapięta suknia i staranne ułożenie włosów. Na blacie wypolerowanego stolika znajdują się tylko przedmioty niezbędne przy zajęciu portretowanej. Obok, na wspaniale odlanej podstawie, stoi lampa naftowa z dużym białym kloszem. Za plecami Adaminy bieli się piękna wzorzysta firanka. Jest w tym wnętrzu spokój domowego wieczoru i ciepło, którego źródła nie sposób dociec.

Patrzemy na obraz i zastanawiamy się, czy Grudziński jest w nim realistą, czy też stworzył własną rzeczywistość? Niektóre jej składniki wydają się zbyt precyzyjnie dopasowane do całości: nożyczki ułożone są wzdłuż poręczy krzesła, ich ostrza – jakby gwoździ poczucia bezpieczeństwa widza – zostały odwrócone od niego (choć może w tej pozycji po prostu łatwiej złapać uchwyt nożyczek), szpulka z niemi stoi równolegle do kolumny lampy, której kształt jest z kolei niemal lustrzanym odwzworowaniem fałdy firanki. Realizm czy reżyseria? Wyrafinowanie czy przypadek? Słowo przypadek nie pasuje jednak do „Fotografa Warszawskiego” i do autora tych prac.



Piknik w Ciechocinku.

Ale to nie koniec pytań oraz niespodzianek związanych z zawartością grudniowego zeszytu „Fotografa Warszawskiego” z 1910 r. Podpis „Portret P. A. G.”, taki sam, jak ten na str. 179, widnieje pod zdjęciem ze str. 185. To nie pomyłka, na portrecie jest „Pan Aleksander Grudziński” – brat Zygmunta. Na sąsiedniej stronie (184) reaktor magazynu (zapewne w porozumieniu z autorem) zamieścił subtelnie przygaszony, przesłoniczony wizerunek Stanisławy Wiland, siostry Bronisława Wilanda, zatytułowany „Portret S. W.” Portretowana, szwagierka dra Zygmunta, siedzi w chwili ujęcia na krawędzi łóżka. Kontury sylwetki pięknie maluje boczne światło okienne. Stefania z miłym wyrazem twarzy spogląda z półcienia prosto w obiektyw. Chętnie odwzajemniamy po latach jej spojrzenie i delikatny uśmiech.

Z kolei fotografia na str. 189 prezentuje inne niż oglądane przez nas poprzednio artystyczne wcielenie Leonii, chyba bardziej oddające jej wrodzony temperament. Tym razem „zagrała” dla nas przed obiektywem trudną do odczytania scenkę, wcielając się w dwuznaczną – a zarazem wyrazistą – postać będącą zbitką dwóch wizerunków: wieśniaczki (przekupki?) oraz zakonnicy. Pomysłowy kostium w połączeniu ze światłocieniem sprawiają, że ciemna suknia, biały fartuch i nakrycie głowy raz zdają się nam habitem, innym razem – prostym schludnym odzieniem. Biorąc za przykład ten niezwykły portret można snuć refleksje na temat teatralizacji wizerunku lub roli inscenizacji w sztuce fotografii – doszukując się w pracy Grudzińskiego wpływu awangardowych -izmów, a nawet antycypacji pomysłów Witkacego. Ale



„Studium portretowe” autorstwa Z. Grudzińskiego
w „Fotografie Warszawskiej” 1910/12.

by nie zamęczać tymi wywodami Czytelnika, przypomnijmy artystyczną atmosferę towarzyszącą wizytom dra Zygmunta w Krzykosach. Chcąc nie chcąc, uczestnikami jego artystycznych poszukiwań stawali się wszyscy bez wyjątku domownicy, a Leonia wiodła w tym twórczy prym. Bez wątpienia jest ona współautorką tego zdjęcia.

Jedno wydanie prestiżowego magazynu poświęconego technikom i sztuce fotografii, a w nim aż sześć prac jednego artysty – Zygmunta Grudzińskiego – było niewątpliwie aktem uznania dla jego twórczości. Proszę wierzyć – a przejrzałem uważnie większość ze 140 zeszytów „Fotografa Warszawskiego” – na palcach jednej ręki da się policzyć podobne przykłady w historii tego czasopisma. Szkoda tylko, że owa edytorska nobilitacja nie została wsparta recenzją czy chociaż redaktorską notą.

Po takim zdjęciowym spektaklu dr Grudziński – radiolog, hydropata i człowiek nauki – stał się jeszcze bardziej rozpoznawalny jako artysta. Fala zasłużonego uznania była zapewne jednym z czynników, które zachęciły go do poważnego zaangażowania się w popularyzację fotografii, a także wykorzystanie jej jako narzędzia pożytecznych przedsięwzięć społecznych. Apogeum tej aktywności w życiu doktora przypadają na lata 1912–1913, a kamieniami milowymi na jego drodze stały się dwie wystawy



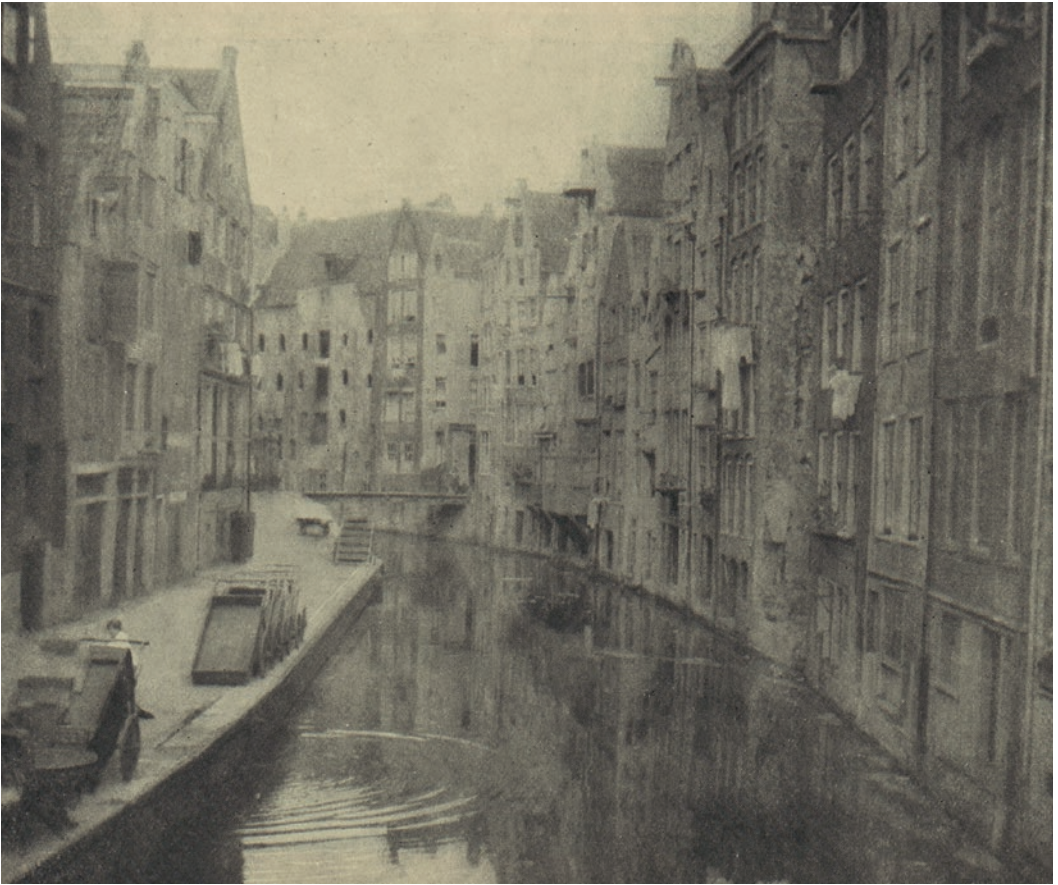
„Cisza morska” fotografia Z. Grudzińskiego opublikowana w „Fotografie Polskim” 1928/1.

fotograficzne, które współorganizował. Pierwsza, nazwana po prostu „Wystawą fotografii”, zorganizowana została w sierpniu 1911 r., w szczycie sezonu zdrojowego – w Ciechocinku, druga, zatytułowana „Krajobraz Polski”, w 1912 r. w Warszawie.

Wystawę fotografii w Ciechocinku ulokowano w kameralnej, pięknej sali starego szachulcowego dworca zwanego letnim, wzniesionego w 1869 r. W 1911 r. funkcjonował już obok nowy budynek, wystawiony z rozmachem w latach 1901–1902. W zapowiedzi wystawy, opublikowanej ze znacznym wyprzedzeniem – bo już 5 kwietnia 1911 r. – na łamach „Gońca Porannego”, informowano:

W początkach sierpnia r. b. odbędzie się w Ciechocinku, na rzecz ciechocińskiego gniazda dla dzieci skrofulicznych, wystawa fotograficzna. Wystawa obejmować będzie trzy działy: 1) Zdjęcia dowolnej treści (widoki, portrety, typy itp.), posiadające wartość artystyczną; 2) zdjęcia z Ciechocinka (widoki, typy. sceny rodzajowe itp.); 3) zdjęcia o charakterze naukowym, mające związek ze zdrojownictwem.

Wystawa jest urządzana wyłącznie dla fotografów-amatorów [określenie to dotyczyło osób nietrudniących się fotografią zarobkowo – red.]. W dziale drugim dopuszczani

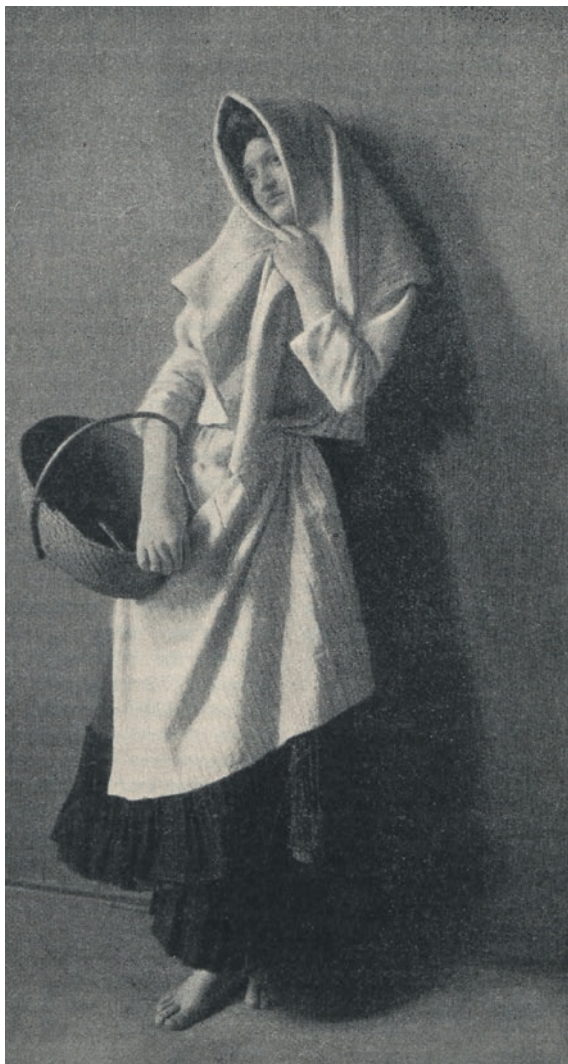


„Widok z Rotterdamu” zdjęcie Z. Grudzińskiego opublikowane w „Fotografie Polskim” 1929/12.

są fotografowie zawodowi poza konkursem. Wielkość i format odbitek dowolne. W celu większego zainteresowania wystawców, w dziale drugim komitet wystawy ogłasza konkurs na najlepsze zajęcia z Ciechocinka.

Warunki konkursu są następujące:

- 1) Ubiegać się o nagrody mogą tylko amatorowie, przedstawiający kolekcję, złożoną nie mniej, jak z 10 zdjęć.*
- 2) Najlepsze prace odznaczone będą szeregiem nagród w postaci przedmiotów artystycznej wartości.*
- 3) Nagrodzone prace stają się własnością zakładu kąpielowego w Ciechocinku i po zamknięciu wystawy będą umieszczone w sali Czytelni zakładowej.*
- 4) Ocena prac konkursowych i przyznanie nagród powierzone będą obranemu ad hoc „jury”.*
- 5) Przysądzenie jednej z nagród pozostawia się publiczności zwiedzającej wystawę.*



„Biedna dziewczyna” praca Z. Grudzińskiego opublikowana w „Fotografie Polskim” 1910/12.

Termin nadsyłania prac na wystawę i na konkurs upływa z dn. 25 lipca r. b. Prace nadsyłać należy pod adresem sekretarza wystawy.

Na czele wystawy stoi komitet, do którego wchodzi: dr Anders (prezes), dr Z. Grudziński (sekretarz), J. Afagonow, dr W. Chmielewski, W. Dzierżawski, Iricz-Iwanko, W. Kirchner, dyr. zakładów ciechocińskich M. Raczyński. Udział w urzędzeniu wystawy i konkursu biorą też: zarząd zakładu kąpielowego w Ciechocinku i Tow. Przyjaciół Ciechocinka.

Bliższych informacji udziela sekretarz wystawy (do 15-go maja: Warszawa, Nowogrodzka Nr 31 m. 6, po 15-ym maja: Ciechocinek, willa „Romana”).

Były to czasy, w których ochronę danych osobowych uznano by za absurd. Dodatkową atrakcją dla uczestnika wystawy mogła więc być wizyta w domu lub gabinecie sławnego organizatora.

Szczegółowe komunikaty, jeszcze dziś mogące być wzorem dla podobnych przedsięwzięć, ukazały się w co najmniej kilkunastu tytułach prasowych na terenie Królestwa. Dzięki nim poznajemy praktyczne cele przyświecające organizatorom wystawy, nie tylko artystyczne. Poza niezwykle szczytnym zamiarem, jakim było zgromadzenie środków na rzecz dzieci dotkniętych poważną chorobą, organizatorzy niewątpliwie zamierzali łączyć swe przedsięwzięcie z promocją Ciechocinka i upatrywali w nim formy ożywienia zdrojowego życia. Uwagę zwraca również projektowany dział trzeci wystawy, którego pomysłodawcą mógł być sam dr Grudziński bądź przedstawiciel zakładów ciechocińskich. W kilku komunikatach wymieniane są też inne instytucje oraz stowarzyszenia patronujące wystawie, wśród nich Polskie Towarzystwo Krajoznawcze oraz Polskie Towarzystwo Miłośników Fotografii.

Wystawa była zarówno wydarzeniem lokalnym, jak również przedsięwzięciem o szerszym wymiarze – nie tylko poprzez znakomite patronaty, ale również z uwagi na fakt, że w porze letniej w Ciechocinku gromadzili się przedstawiciele elit: artyści, urzędnicy, fabrykanci czy członkowie finansjery. Miała też wymiar towarzyski, związany chociażby z uroczystym otwarciem i podsumowaniem, ale również dzięki kontaktom w gronie samych organizatorów, sponsorów i uczestników. Oprawę wystawy stanowiły dodatkowo ekspozycje malarskie i rzeźbiarskie, których twórcy również byli sponsorami nagród przyznawanych fotografom amatorom.

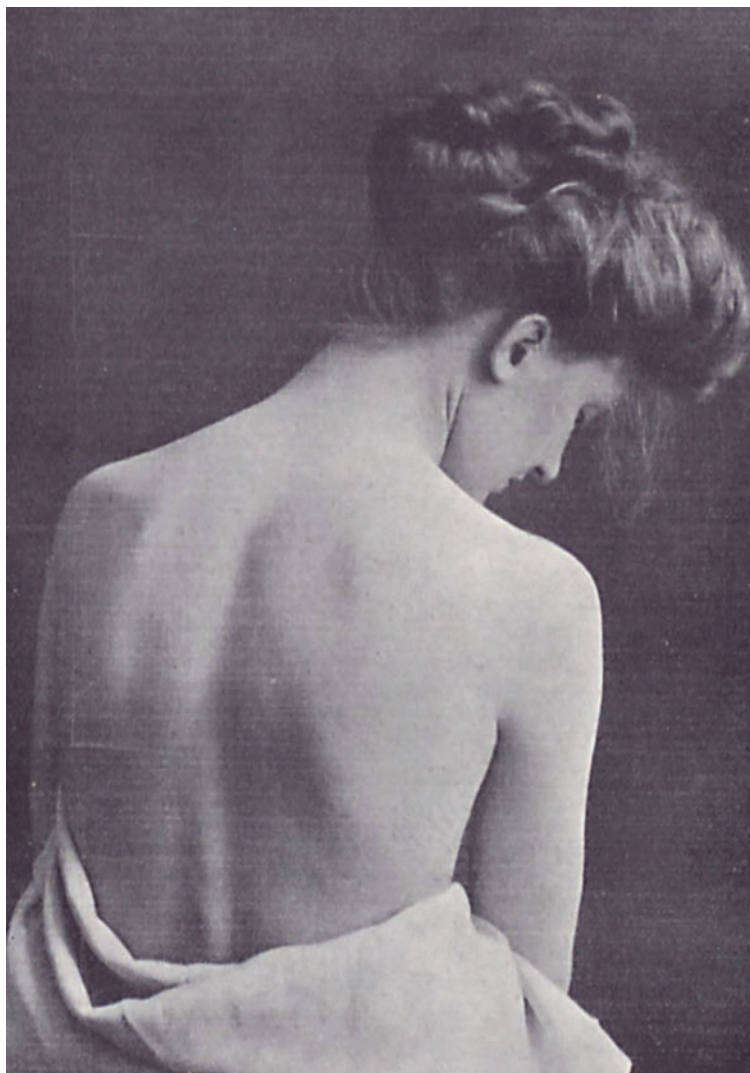
O wrażeniu, jakie na obserwatorach wywarła fotograficzna ekspozycja oraz o jej efektach, informował m.in. korespondent „Kurieria Warszawskiego” w wydaniu z 11 sierpnia 1911 r.: *Do jury na wystawie fotograficznej w Ciechocinku należeli pp.: artysta-rzeźbiarz Wacław Bębnowski, dr Z. Grudziński, Jadwiga Ignatowska, Helena Irycz-Iwanko, Eligjuszowa Niewiadomska, Konrad Olchowicz, Stanisław Szalay, i artysta-malarz Teodor Ziomek.*

W dziale ogólnym nagrody przyznano: P. J. Bułhakowi – kilim ludowy z pracowni p. Śliwińskiej na Wołyniu; p. Grotkowskiemu – wazon artysty-rzeźbiarza, p. Bębnowskiego; p. Kossowskiemu – parawan malowany p. Irycz-Iwanko. Uchwalono wyrazić podziękowania: Polskiemu Tow. Krajoznawczemu za celowe gromadzenie materiału dla ilustracji naszego kraju; polskiemu Tow. Miłośników Fotografii za piękne albumy i zbiory fotografii; p. Strzałeckiemu za piękną kolekcję widoków i powiększenie „Rybak, naprawiający sieć”; p. Leipzigerowi za studja portretowe; pp.: Ostaszewskiemu,

Lipszycowej, Małachowskiemu, Głogowskiemu. Kuleszy i Zmysłowskiemu za serje widoków; p. Zalewskiej za typy i studja z Podola; p. Frumkinowi.

za typy warszawskie; p. Głowackiemu za piękny zbiór widoków z Chełmszczyzny; p. Władysławowi Kirchnerowi za nadesłane prace i ofiarowaną, nagrodę; p. Jerzemu Raczyńskiemu za zbiory fotograficzne zabytków i widoków kraju; drowi Rubinrotowi za ciekawy zbiór roentgenogramów.

W dziale ciechocińskim nagrody przyznano: Inż. E. Mireckiemu – żardinierę z pracowni br. Łopieńskich; p. Dzierżawskiemu – dzieło „Album zasłużonych Polaków”, wyd. M. Chełmońskiej; p. Wiercińskiej – fotografie barwne repr. Fran. Halsza; R. Bogdanowiczównie – album do fotografii p. Bentkowskiej;



**Studium portretowe autorstwa Z. Grudzińskiego,
zamieszczone w „Fotografie Warszawskim” nr 7 z 1913 r.**

*p. Polaskiej – talerz malowany z wycinanek ludowych; p. Siemionowowi – fotometr;
p. Dietzowi – studjum portretowe w heliograviurze p. W. Kirchnera; p. Snarskiemu –
wazon p. Bębnowskiego (...).*

*Ponieważ członek komitetu, inicjator wystawy, dr. Z. Grudziński, stanowczo zrzekł
się przyjęcia nagrody jury, jednomyślnie uchwalono wyrazić mu uznanie za jego arty-
styczne prace, umieszczone na wystawie ciechocińskiej.*

Należy dodać, że z okazji ekspozycji wybity został pamiątkowy ryngraf, którego reprodukcję zamieszczamy na tych stronach.

Wystawa była zapewne czynna jeszcze przez wiele dni po opisanym wydarzeniu, albowiem w prasie informowano o licznych wycieczkach organizowanych specjalnie

w celu jej obejrzenia. Uczestnicy jednej z nich, zorganizowanej przez PTK, przybyli do Ciechocinka statkiem. Wycieczka towarzystwa fotograficznego w Warszawie, która dotarła do Ciechocinka 13 sierpnia, co odnotował niezawodny „Kurier Warszawski”, *z powodu wakacji (...) była nieliczna, lecz urozmaicona i przyjemna, dzięki uprzejmości dr. Grudzińskiego, sekretarza wystawy, i pp. inż. Mireckich, którzy, pomimo nawału pracy, sporo czasu poświęcili, aby uprzyjemnić pobyt gościom (...).*

Obszerne opisy artystycznego i towarzyskiego wydarzenia pokazują wyjątkową rolę, jaką w urzeczywistnieniu tej inicjatywy odegrał Zygmunt Grudziński. Są też dowodem jego zdolności organizatorskich, chęci społecznikowskiego działania oraz autorytetu, jakim cieszył się w lokalnym i warszawskim środowisku.

Był to jednak skromny poligon doświadczalny w porównaniu z ogromnym przedsięwzięciem wystawienniczym zrealizowanym rok później. Mowa o wystawie pn. „Krajobraz polski”. W niektórych informacjach, na przekór carskiej cenzurze, przemycano ten tytuł w zapisie: „Krajobraz Polski”. Organizatorem wystawy było Polskie Towarzystwo Krajoznawcze przy współudziale licznych instytucji i organizacji. Jej prezentacja odbywała się od 1 do 31 marca w sali wielkiej warszawskiego Ratusza. Dr Zygmunt Grudziński został zaproszony do prezydium komitetu organizacyjnego, w którym powierzono mu odpowiedzialną funkcję sekretarza wystawy. W skład szerokiego komitetu weszli przedstawiciele licznych współpracujących z PTK organizacji (m.in. Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych czy stowarzyszeń technicznych), natomiast w ścisłym prezydium zasiedli: profesor Stefan Bukowski, artysta malarz – wiceprezes komitetu, reprezentujący Warszawskie Towarzystwo Artystyczne, Kazimierz Kulwiec – prezes komitetu, reprezentant (oraz prezes) Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, wydawca czasopisma ilustrowanego „Ziemia”, Władysław Nałęcz (prawdopodobnie chodzi tu o artystę malarza), któremu powierzono funkcję gospodarza wystawy, Tadeusz Rychter – wiceprezes komitetu, przedstawiciel Stowarzyszenia Techników, oraz Zofia Stankiewiczówna – skarbniczka wystawy, znana warszawska graficzka.

Inny rodzaj zaangażowania i odpowiedzialności zademonstrował dr Grudziński, dając wraz z kilkoma osobami finansową gwarancję wypłacalności organizatorów w postaci kaucji pieniężnej.

W odezwie organizatorów wystawy, opublikowanej już w czerwcu 1911 r. przez sekcję fotograficzną PTK, zachęcano przyszłych jej uczestników do selekcji nadsyłanych prac wg grup tematycznych: I – krajobrazy ogólne; II – krajobrazy szczegółowe (z podziałem na: A – roślinność, B – przyrodę martwą); III – siedziby człowieka i jego prace, ich wpływ na charakter krajobrazu (tu w odezwie znalazły się ciekawe pytania: *Czem człowiek krajobraz szpeci, czem człowiek krajobraz zdobi?*); IV – krajobraz w czterech porach roku; V – retrospektywne zbiory krajobrazów polskich, w tym: a) ilustrujące dawniejsze środki techniczne, rysunkowe i malarskie, b) obrazujące dawniejszy stan krajobrazów (słowem: dokumentacja krajobrazu). Ponadto komitet projektował urządzić wystawę panoramiczną zdjęć stereoskopowych.



„Portret P.A.G.” (pani Adaminy Grudzińskiej, matki autora zdjęcia) opublikowany w grudniu 1910 r, w „Fotografie Warszawskim”.

Ostatecznie zdecydowano się prowadzić selekcję nadesłanych prac wg 21 profili tematycznych. Zatrudnionych musiała być przy tym spora grupa osób, albowiem do ekspozycji włączono ponad 1000 fotografii na papierze i szkle, nadesłanych przez miłośników krajobrazu ze wszystkich ziem polskich (co ciekawe, najczęściej z Galicji). Podzielone one zostały na dwa działy: obrazowy i naukowy. Pierwszy z nich miał eksponować walory estetyczne, drugi natomiast zwracać uwagę na wartości poznawcze. Uwypukła to fragment noty pomieszczonej w katalogu wystawy: *Zgodnie z ułożonym planem, który zakreśla Wystawie przede wszystkim charakter naukowo-krajoznawczy, główny nacisk położono na zgromadzenie materiału fotograficznego, zachowującego wartość ścisłego dokumentu. Produkcja zaś malarska dopełnia to, czego aparat fotograficzny – przynajmniej przy rozpowszechnionych dziś sposobach jego użycia – ująć nie może (...) pierwszy – służy syntezie, drugi – analizie.*

Na wystawie znalazło się również miejsce na dział bibliograficzny urządzony przez firmę księgarską Gebethnera i Wolffa według wskazówek komitetu, a zawierający wiele prac zagranicznych, m.in. francuskich, angielskich i niemieckich, które dla badacza krajobrazu polskiego dać mogły wiele pouczających wskazówek i wprost gotowych planów do studyów.

Wystawę odwiedziło ponad 6500 osób. Specjalnie dla jej obejrzenia organizowano wycieczki do Warszawy dla miłośników fotografii i krajoznawców ze wszystkich ziem polskich.

Jak wypadł na niej Grudziński jako artysta? Imponująco. Zaprezentował kilkanaście prac, które nie tylko zostały zapamiętane przez recenzentów, ale również wysoko przez nich ocenione. W katalogu wystawy wymieniono ich tytuły: „Widoczek z Litwy” – gubernia grodzieńska, „Aleja nad Wisłą” pod Ciechocinkiem, „Droga z góry w Raciążku” pod Ciechocinkiem, „Wisła pod Ciechocinkiem”, „Motyw” – kaliskie, „Aleja w parku” – Ciechocinek, „Nad Bugiem”, „Rzeka Bug”, „Rzeka Świder” – z okolic Otwocka, „O zachodzie” – kaliskie, „Kapliczka w Lubońku” – kaliskie, „Nad Wisłą” – pod Ciechocinkiem, „Dworek wiejski w Krzykosach” – kaliskie, „Chmura” – kaliskie, „Motyw II” – kaliskie, „Boża męka. (Krzyż choleryczny)” – wieś Krzykosy, gubernia kaliska, „Rzeka Rgielewka” – wieś Krzykosy, gubernia kaliska.

Doceniając cele i walory tej wystawy, recenzenci zasadniczo najwięcej uwagi poświęcali fotografiom. Zofia Skorobohata-Stankiewicz, autorka relacji dla kobiecego „Bluszczu”, swoje powystawowe refleksje poświęciła dla odmiany krajobrazom malarzkim, dodając wszakże:

Piękno krajobrazu polskiego, który barwnie i nastrojowo reprezentują artyści-malacze, odbija się też i w bardzo obficie zgromadzonych zdjęciach fotograficznych, z których wiele do wyżyn sztuki śmiało dąży. Owem pośrednim ogniwem są tu tak zwane obrazy fotograficzne, w których wykonawcy idzie o wyraz i nastrój danego momentu za pomocą należycie wyzyskanego światłocienia. Poczucie artystyczne fotografa, umiejętność uchwycenia odpowiedniego momentu do zdjęcia stanowi o wartości tych prac, w których, tak, jak w i malarstwie, podstawową nutę stanowić musi serdeczne umiłowanie własnej ziemi i jej krajobrazu. W dziale „obrazów fotograficznych” prym trzymają świetne zdjęcia p. Bułhaka, z zapalem poświęcającego się fotografii i dochodzącego do wspaniałych rezultatów w tym kierunku. Do bardzo udatnych, acz mniej licznych, należą też zdjęcia dr. Grudzińskiego.

I jeszcze jeden fragment z katalogu wystawy „Krajobraz Polski”: *Dział fotografii, aczkolwiek przynosi sporo materiału, mało wśród artystów i krajoznawców znanego, to jednak najważniejsza jego doniosłość – zdaniem Komitetu wystawy – polega na tem, że poucza on postępujących się aparatem foto-graficznym krajoznawców, ile jeszcze jest tu do zrobienia na przyszłość.*

Ta przyszłość przyniosła wkrótce wiele cierpień i tragedii, które dotknęły miliony ludzi na całym świecie podczas I wojny światowej. Sztuka fotografii i filmu zaprzęgnięte zostały w machinę wojennej propagandy, ale również stały się dokumentem zbrodni i metodą pacyfistycznej afirmacji życia. Na kilka lat życie artystyczne zamarło, zawiesiły swoją działalność towarzystwa, w których aktywny był dr Grudziński. On sam w latach wojny pracował w szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie, gdzie był kierownikiem pracowni rentgenologicznej.

Po wielkiej wojnie światowej, a potem po kolejnej w 1920 r. – na której frontach młoda Polska wykrawiała się, broniąc zdobytej niepodległości – II Rzeczpospolita

potrzebowała wiedzy i doświadczenia takich osobowości jak dr Grudziński. On to rozumiał i odpowiadał na pokładane w nim nadzieje coraz bardziej poświęcając się nauce. Uwieńczeniem tego był uzyskany w 1922 r. tytuł doktorski z zakresu medycyny, a wkrótce potem objęcie stanowiska docenta na Uniwersytecie Warszawskim. Do dziś zapamiętany został wysiłek, jaki włożył w rozwój i unowocześnienie polskiej radiologii, działając w łonie Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego czy redagując „Polski Przegląd Radiologiczny”.

A co działo się przez tych kilkanaście długich lat z Grudzińskim artystą fotografikiem? Najkrócej mówiąc: dzielił się swoją pasją i uzyskanym doświadczeniem artystycznym z przedstawicielami kolejnego pokolenia miłośników fotografii. Zapraszany był do komisji konkursowych. W 1924 r. na przykład oceniał prace nadesłane na konkurs ogłoszony przez Województwo Śląskie. Poza pracą naukową i dydaktyczną w macierzystej uczelni – Uniwersytecie Warszawskim, wygłaszał okolicznościowe wykłady na temat fotografii i radiologii, m.in. na Politechnice Warszawskiej. Przewodniczył komisji odczytowej Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii, przez pewien czas był członkiem jego zarządu, a w pod koniec życia – komisji rewizyjnej. Od czasu do czasu w sali PTMF organizował odczyty dotyczące kwestii warsztatowych. Ostatni z nich miał miejsce na 6 miesięcy przed śmiercią Grudzińskiego. Zmarł 24 października 1929 r.

Nie doczekał swej pierwszej wystawy indywidualnej, którą otwarto w niedzielę 1 grudnia 1929 r. Zaprezentowanych zostało na niej ponad 50 fotogramów artysty, stanowiących przegląd całej jego twórczości. Być może miał udział w wyborze tych prac, bowiem plan wystawienniczy towarzystwa przygotowany został z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Dla wielu osób, w tym dla fotografików międzywojnia, którzy znali Grudzińskiego osobiście, ekspozycja stała się pozytywnym zaskoczeniem, spowodowanym różnorodnością i wysokim poziomem prezentowanych prac. Niektórzy nazwali ją „łabędzim śpiewem” zmarłego kolegi. Ignacy Płazewski reakcje te tłumaczy faktem, że fotograficy amatorzy, a więc ci, którzy utrzymywali się z pracy w innych zawodach, tworzyli i wystawiali niejako w konspiracji wobec reszty środowiska.

Nie mają jednak racji współcześni mu, że Grudziński nie uczestniczył w wystawach. Uczestniczył, potwierdza to m.in. wileński „Almanach fotografii” z 1931 r., w którym wyliczono, że w latach 1925–1930 na trzy międzynarodowe salony trafiły cztery prace Grudzińskiego. Z kolei „American Annual of Photography” odnotowuje, że tylko w 1930 r. na dwóch wystawach zaprezentowano 5 fotogramów tego autora.

Stanisław Schönfeld, redaktor naczelny „Fotografa Polskiego”, tak wspominał starszego kolegę: (...) *ś. p. Dr. Grudziński tworzył też obrazy fotograficzne, te jednak mniej są znane szerszemu ogółowi (...). Obecnie pośmiertna wystawa indywidualna zobrazowała charakter twórczości artysty, który nigdy nie szukał rozgłosu, a fotografię umiłował i służył jej, bo mu dawała zadowolenie wewnętrzne, i możliwość wyrażania impresji, rzeźbionych wysoką kulturą ducha.*

(...) *W bardzo wielu [jego] zdjęciach uwydatniało się owo szczere, gorące umiłowanie kraju ojczystego, jego piękna i zabytków, zwłaszcza z dziedziny starej architektury.*

Marian Dederko istotę kunsztu zmarłego artysty ujął następująco: (...) *największy urok mają dla nas pejzaże ze sztafażem aktowym. Kobieta, klęcząca na ciemnym tle drzew, akt z podniesionymi rękami na tle jeziora, kobieta nad wodą – są to prace naprawdę oryginalne, piękne i pociągające swoją poezją i nastrojem. Do tej samej grupy zaliczamy studia plastyczne w tunikach, z których najpiękniejsza jest praca traktowana sylwetkowo.*

Ta sama poezja i takie same zamyślenie wieje z pejzaży D-ra Grudzińskiego. Nastrój i rozwiązanie plam w czysto malarski sposób, bez tanich efektów, było zawsze dążeniem artysty. Sztafaż ludzki, do umieszczania, którego miał specjalne uzdolnienie, ogromnie podnosi wartość każdej pracy. Uśmiechnięta pod lwem dziewczyna w Łazienkach robi z pospolitego widoczku dzieło ciekawe. Postać nad morzem podnosi wrażenie grozy żywiołu, podkreślając umiejętnie jego ogrom i pustkę. Każdy pejzaż śpiewa jakąś tajemną melodię, której wykładnikiem jest tak bardzo umiejętnie umieszczona postać ludzka. Takim artystą był Dr. Grudziński, takimi pracami światowej miary wykazał się po śmierci.

Słowa o czysto malarskim „rozwiązaniu plam” przez Grudzińskiego można z powodzeniem odnieść do fotografii zatytułowanej „Widok Rotterdamu”, która wypełniła grudniową wkładkę miesięcznika. Godne uwagi są również inne prace, których motywem jest woda. Potwierdzeniem przywiązania artysty do akwaticznych metafor jest „Cisza Morska”, reprodukowana w styczniu 1928 r. w „Fotografie Polskim”. Nie wiadomo, kiedy zostało wykonane to zdjęcie, ale jest ostatnim, w każdym razie w tym magazynie, opublikowanym za życia autora. Z obrazu emanuje spokój. Horyzont jest symbolem kresu, ale może być odczytany jako metafora nieskończoności. Każdy z nas wie, że za horyzontem jest bezmierny ocean otulający planetę, który gromadzi i oddaje życiu wodę z każdej rzeki, także tę z Wisły czy z Rgilewki.

Ryszard Jałoszyński



W dawnym Pałacu Czartoryskich w Puławach od 1869 do 1915 r. funkcjonował Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa, nazywany w skrócie Instytutem Agronomicznym (tutaj na pocztówce z pocz. XX w.), do którego uczęszczało wielu sławnych Polaków. W zabytkowym obiekcie ma obecnie siedzibę Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa – Państwowy Instytut Badawczy (IUNG-PIB), jednostka badawczo-rozwojowa, podległa Ministerstwu Rolnictwa i Rozwoju Wsi.



Studenci dawnego Instytutu Agronomicznego podczas zajęć, na zdjęciu z 1900 r.

Zródła fotografii: historia.iung.pulawy.pl

Puławianin i obywatel ziemski

„Biografie niezwykle” są już trzecią publikacją w kłodawskiej serii Towarzystwa Samorządowego, w której przypominamy postać Bronisława Wilanda (1874–1832), właściciela majątku ziemskiego w Lubońku, społecznika i propagatora pracy organicznej. Krótki szkic biograficzny, zawarty w wydanym w 2018 r. zbiorze pt. „Ludzie kłodawskich sołectw”, uzupełniał akapit odnoszący się do inskrypcji widniejącej na tablicy grobowca rodzinnego Wilandów w Bierzwiennie Długiej: „BRONISŁAW WILAND – PUŁAWIANIN, OBYWATEL ZIEMSKI”

(...) Te słowa są najtrafniejszą, a zarazem najbardziej lapidarną charakterystyką jego postaci. Słowo „Puławianin” było synonimem doskonałych kompetencji. Tak nazywano absolwentów Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach – uczelni rosyjskiej (w której wykładali również polscy profesorowie) podtrzymującej fachowe tradycje zlikwidowanego w 1869 r. polskiego Instytutu Politechniczno-Leśnego. „Obywatel ziemski” z kolei to zwrot, który oddaje nie tylko pozycję stanową czy właścicielską człowieka (w tym znaczeniu można przecież użyć słowa „ziemianin”), ale służy podkreśleniu jego aktywnej i świadomej funkcji w społeczeństwie.

Inskrypcja z pomnika w Bierzwiennie stanowi piękne zwieńczenie pracowitego życia Bronisława, a zarazem motto tekstów, w których staramy się przywrócić współczesnej pamięci jego postać.

O domu i atmosferze rodzinnej, której istotą było tworzenie właściwych warunków dorastania i rozwoju kolejnego pokolenia Wilandów, barwnie opowiada wnuk Bronisława – Piotr Wiland. W tym artykule skupimy się na zwięzłym nakreśleniu, a właściwie przypomnieniu, sylwetki ziemianina z Lubońka, uzupełniając ten obraz o kilka mało znanych szerszemu ogółowi faktów.

Do domu czy też niewielkiego dworku w Lubońku pod Kłodawą Bronisław Wiland, świeżo dyplomowany agronom I stopnia, powrócił po latach nauki w 1897 r. Nie był to zwykły powrót, skoro o tym fakcie z łamów ówczesnej prasy dowiedzieli się jej czytelnicy w całym Królestwie Polskim. „Kurier Warszawski” z 19 września 1997 r donosił:

Institut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Nowoaleksandrji w r.b. ukończyło 50 studentów i dwu eksternów. 30 z nich otrzymało dyplomy agronomów i leśników 1-go stopnia, zaś 20 dyplomy 2-go stopnia. Institut ukończyło 13 Polaków. Dyplomy agronomów 1-go stopnia otrzymali pp.: Stanisław Leśniowski, Władysław Leszczyński, Stanisław Paszkiewicz, Edward Szpilewski, Józef Zawadzki, Ludwik Żuławski i Bronisław Wiland (...) Większość otrzymała już posady rządowe lub prywatne; te ostatnie jednakże, z powodu dość niskiego wynagrodzenia, studenci instytutu przyjmują bardzo niechętnie.

Oznaczało to, że Polacy, nieliczni wśród absolwentów instytutu w Nowej Aleksandrii (Puławach), witani byli przez społeczeństwo jako wartościowe i dobrze wykształcone kadry, w których pokładano ogromne nadzieje na podniesienie z застоju tak ważnej dziedziny, jaką na ziemiach polskich było rolnictwo. Ich atut stanowiła fachowa wiedza rolnicza wsparta solidnymi podstawami ekonomii oraz przedsiębiorczości, niezbędnymi w ówczesnych realiach. Dawali oczekiwaną nadzieję, że zaszczepią swój entuzjazm i wiedzę tym środowiskom wsi polskiej, w których pod względem oświaty rolnej i środków na jej upowszechnienie były największe opóźnienia.

Cele takie już wcześniej przyświecały młodym polskim agronomom oraz środowiskom skupionym od II poł. XIX w. wokół Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, założonego przez przedstawicieli ziemian i arystokracji polskiej. Podobną misję podjęło i rozszerzyło na środowiska włościańskie powołane w 1906 r. Centralne Towarzystwo Rolnicze (CTR). W ramach CTR funkcjonowały wydziały: Kółek Rolniczych, Społeczno-Ekonomiczny, Rolniczy, Hodowlany i Naukowo-Dydaktyczny, które realizowały liczne zadania łączące się z dążeniem do unowocześnienia i usprawnienia polskiego rolnictwa.

Bronisław Wiland brał udział w pracach CTR od początku jego działalności, był członkiem wspierającym towarzystwa, jak również współorganizował prace lokalnych agend. Łączył to z działalnością na rzecz rozwoju innych organizacji wiejskich: samopomocowych, kółek rolniczych, straży pożarnych. Propagował różne formy wiejskiej przedsiębiorczości, np. spółdzielczość zaopatrzeniową czy mleczarstwo. Przed I wojną światową pełnił funkcję sekretarza, a następnie przez wiele lat prezesa Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Kole. Wspierał tworzenie i działalność kółek rolniczych w powiecie kolskim, współpracował z Doświadczalnią Rolniczą w Kutnie.

Wzorowo zarządzał własnym majątkiem, angażując się zarazem w inne formy aktywności gospodarczej i społecznej. Był m.in. założycielem Kółka Rolniczego w Bierzwiennie Długiej, Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik” w Kłodawie, wspierał OSP w Lubońku, założone przez krewnego – nauczyciela Kazimierza Wilanda.

Nieprzerwanie przez ponad trzydzieści lat znajdował czas na promowanie nowoczesnego rolnictwa w prasie centralnej i regionalnej, m.in. na łamach „Gazety Świątecznej”, „Gazety Rolniczej”, „Rolnika i Hodowcy” czy „Gazety Cukrowniczej”. Prowadził rubryki gospodarcze, dzielił się wynikami doświadczeń prowadzonych na polach własnego majątku i odpowiadał na pytania czytelników. Naśladował w tym

organicznikowskim działaniu swojego ojca Jana Wilanda, autora m.in. poczytnej broszury „Zatrudnienia rolnicze podczas wiosny”, wydanej w 1876 r.

Teksty zawarte w katalogu wystawy „Kłodawianie podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920–1921”, zorganizowanej przez Towarzystwo Samorządowe oraz Gminny Ośrodek Kultury w Kłodawie, ukazały oblicze Bronisława Wilanda jako ofiarnego działacza patriotycznego.

Co jeszcze należy dodać, by uzupełnić jego obraz?

Niewątpliwie warto wspomnieć o inicjatywach, które miały związek ze sprawowanym mandatem delegata do Sejmiku Powiatowego w Kole. Z tą funkcją łączy się jedno z najbardziej spektakularnych osiągnięć władz powiatu kolskiego oraz miejscowych organizacji rolniczych, jakim było zagospodarowanie majątku i pałacu w Kościelcu.

Przyszłość majątku kościeleckiego stała się w 1918 r. nie lada problemem dla władz rządowych odrodzonej Polski. O ile łatwo było uporać się z gruntami rolnymi, gdyż do ich zagospodarowania znalazło się wielu chętnych wśród miejscowej służby folwarcznej czy okolicznych włościan, o tyle zagospodarowanie wielkiego kościeleckiego majątku z pałacem i parkiem okazało się nie lada wyzwaniem. Z różnych instytucji, organizacji i stowarzyszeń od początku 1919 r. napływały do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych rozmaite propozycje zagospodarowania „dawnego dominium Kościelec”. W marcu 1919 r. Rada Gminna w Kościelcu zwróciła się do Sejmu Ustawodawczego o „dom stojący za zajazdem pocztowym”, należący do dominium. Już od kilkudziesięciu lat był on dzierżawiony przez gminę na rzecz szkoły ludowej. W lipcu 1919 r. parafianie kościeleccy wystosowali do Sejmu prośbę o przyznanie ziemi pod budowę nowego kościoła. We wrześniu 1920 r. została ona załatwiona pozytywnie. W 1919 r. Ministerstwo Robót Publicznych przeprowadziło intensywną wymianę korespondencji z Ministerstwem Rolnictwa w sprawie „zużytkowania pałacu w majątku państwowym Kościelec” pod Kołem – na urzędy i mieszkania. Kościelcem zainteresowane było również Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – „wobec nieuregulowania spraw lokali dla urzędów państwowych w Kole”. Pojawiła się też propozycja wydzierżawienia pałacu kooperatywie urzędników Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych – „na pensjonat dla urzędników korzystających z urlopów wypoczynkowych”. Planowano też urządzić w Kościelcu „wieś Kościuszkowską”. Pomysłu tego nie zrealizowano, niemniej rozpoczęto remont pałacu, przerwany przez wybuch wojny polsko-bolszewickiej. Wkrótce Prezydium Ministrów nakazało opuścić pałac „dla umożliwienia umieszczenia tam uchodźców z terenów kresowych”, natomiast w gospodarstwie majątku znalazło schronienie państwowe stado koni z Janowa. W drugiej połowie 1920 r. komisja rządowo-sejmowa, objeżdżając województwo łódzkie celem wyboru obiektów przydatnych na cele kulturalno-rolnicze, zakwalifikowała Kościelec do roli takiego ośrodka, przeznaczając pałac na seminarium nauczycielskie, a dawny dom administracyjny na szkołę żeńską rolniczą. Towarzyszący komisji przedstawiciel wojewody łódzkiego, H. Grabiński, sporządził dodatkowy raport dla Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych, w którym zaaprobował przeznaczenie budynku administracyjnego na

szkołę żeńską, ale postulował, aby na mieszkania dla nauczycieli szkoły rolniczej oddać budynek dawnej karczmy. Na podstawie tego raportu Urząd Wojewódzki Łódzki opracował oficjalny wielowariantowy projekt zagospodarowania majątku. W pierwszej kolejności proponowano, by urządzić w Kościelcu stadniny państwowe. Zgłoszono także pomysł, by – w związku z ogólnokrajową akcją „daru narodowego dla Naczelnika Państwa” – zaoferować Kościelec Józefowi Piłsudskiemu. W innym projekcie wskazywano na możliwość uruchomienia tu sanatorium lub „urządzenia stacji doświadczalnej rolniczej w dużym zakresie”. Szybko pojawiły się nowe propozycje, wśród nich ta przedstawiona przez Związek Zawodowy Literatów Polskich, aby w Kościelcu powstał „azyl dla pisarzy polskich”.

W styczniu 1920 r. Centralne Towarzystwo Rolnicze wystosowało pismo do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych, w którym oznajmiło, że „przejąć zaraz folwark Kościelec na założenie tamże Ogniska Kultury Rolniczej pragnie Towarzystwo Rolnicze Kolskie (...) w pierwszym rzędzie celem prowadzenia produkcji nasion zbożowych i inwentarza zarodowego”. Redaktorem intencyjnego wniosku w tej sprawie, ze względu na sprawowane lokalnie funkcje w CTR, był niewątpliwie Bronisław Wiland. Ale właściwą moc urzędową mogła nadać wnioskowi jedynie warszawska centrala CTR.

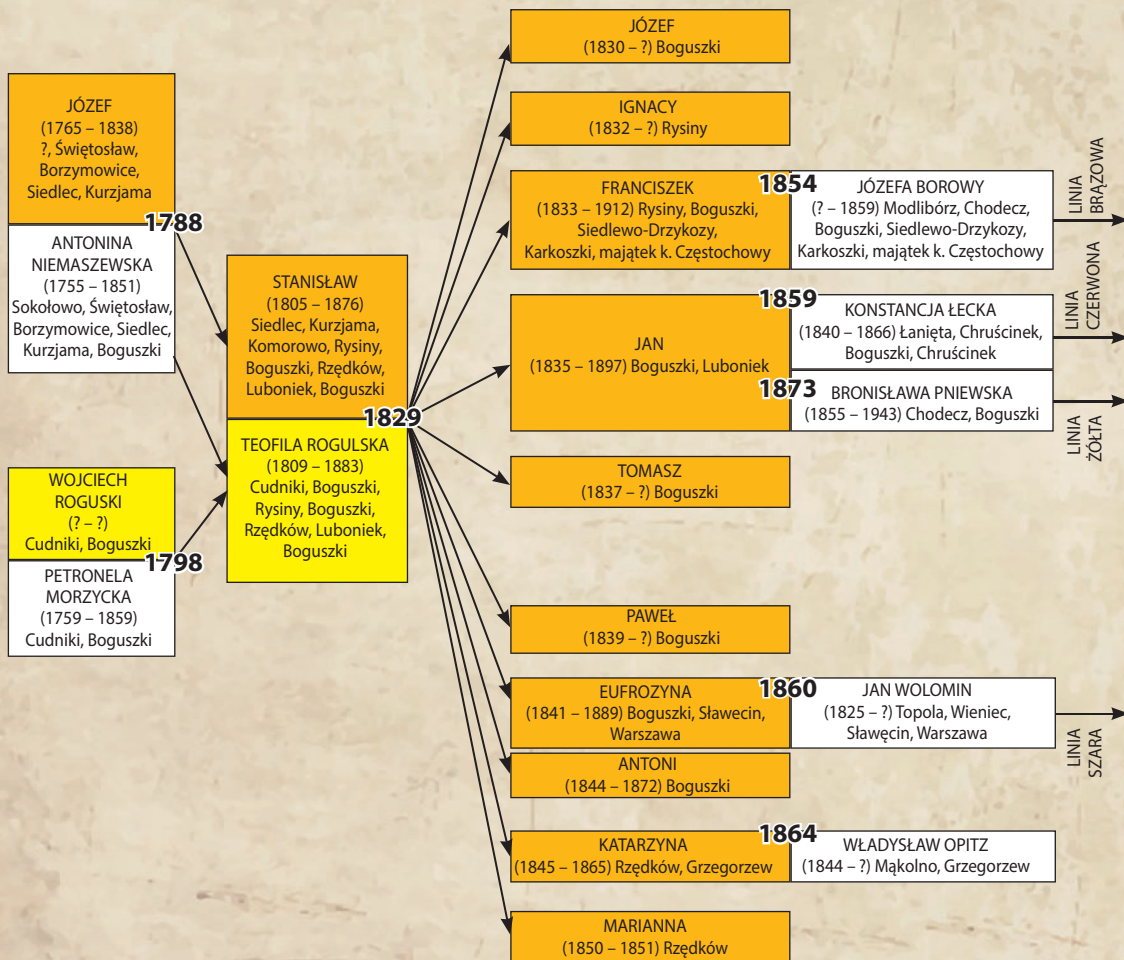
Minister Rolnictwa i Dóbr Państwowych podjął 29 października 1920 r. decyzję w sprawie przeznaczenia części „majątku Kościelec” na szkołę gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt. Natomiast Okręgowe Towarzystwo Rolnicze Kolskie czekało niemal rok na decyzję ministerstwa, dotyczącą wydzierżawienia części dawnych dóbr donacyjnych. Uzyskała ją 13 stycznia 1921 r., podejmując zobowiązanie, że przystąpi „do produkowania doborowych nasion siewnych zbożowych, jak również do prowadzenia obory zarodowej”. Ostateczna jednak zgoda w sprawie przekazania pałacu była odwlekana.

W marcu 1921 r. Bronisław Wiland, jako członek Sejmiku i prezes Kolskiego Okręgowego Towarzystwa Rolniczego, złożył ponowny wniosek o wydzierżawienie majątku na urządzenie w nim „wzorowego gospodarstwa hodowlanego i nasiennego oraz urządzenie stacji rolniczej doświadczalnej”. Sejmik jednogłośnie wniosek przyjął i na przedstawiony cel zadeklarował w budżecie powiatu kwotę dwóch milionów marek. Prowadzenie projektowanego gospodarstwa i ogniska w Kościelcu zgodzono się powierzyć Centralnemu Towarzystwu Rolniczemu. Gospodarstwo i stacja doświadczalna miały być ponadto wspierane przez sejmiki z Kalisza, Konina i Turku, które deklarowały na ich utrzymanie po dwa miliony marek rocznie. Tym razem decyzja Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych była szybka i przychylna. „Kościelec”, jak mawiano w skrócie, z dniem 1 kwietnia 1922 roku został na 12 lat wydzierżawiony Centralnemu Towarzystwu Rolniczemu. *Tak to, po prawie ośmiu latach administracji państwowej, w pierw okupacyjnej niemieckiej, następnie rządowej polskiej, w dziejach „Kościelca” rozpoczynał się nowy kolejny rozdział* – podsumował historyczną decyzję władz państwowych Józef Mójta w opracowaniu „Kościelec ośrodkiem kultury i oświaty rolniczej 1920–1939”.

W 1920 r., na krótko przed wybuchem wojny polsko-bolszewickiej, Bronisław Wiland wszedł w skład Obywatelskiego Komitetu Obrony Państwa w Kole jako delegat Kółek Rolniczych. Działania związane z potrzebą włączenia szerokich kręgów społeczeństwa w sprawy obronności kraju zapoczątkowane zostały 1 lipca 1920 r. Tego dnia Sejm powołał Radę Obrony Państwa, która miała decydować o sprawach związanych z prowadzeniem wojny. 8 lipca na wezwanie rady ukonstytuował się Obywatelski Komitet Obrony Państwa z gen. Józefem Hallerem na czele. 14 lipca 1920 r. powstał w Kole lokalny Obywatelski Komitet Obrony Państwa, na czele którego stanął burmistrz miasta Władysław Klimaszewski. W gminach i miasteczkach powiatu kolskiego, podobnie jak w całej Polsce, szybko tworzone odpowiedniki ogólnopolskiego komitetu. Ludność sama organizowała się, by nieść ratunek zagrożonemu państwu. Do Rady Powiatowej Komitetu z gminy Kłodawa zostali powołani: Bronisław Wiland – delegat Kółek Rolniczych i właściciel majątku w Lubońku, Zygmunt Kokczyński – delegat Związku Ziemian i właściciel majątku w Bierzwiennie Krótkiej oraz córka właścicieli majątku w Krzykosach – Leonia Grudzińska jako przedstawicielka Koła Ziemianek. W działalność OKOP, obok miejscowych władz, zaangażowali się również przedstawiciele różnych grup zawodowych i społecznych. W jednym szeregu z ziemianami działali kupcy, rolnicy, rzemieślnicy, robotnicy, nauczyciele, duchowni oraz delegaci ugrupowań politycznych: Polskiej Partii Socjalistycznej, Związku Ludowo-Narodowego czy Stronnictwa Ludowego. Komitety powiatowe oraz nadrzędne nie starały się formalnie centralizować organizacji, wychodząc z założenia, że najdalej idące instrukcje i regulaminy „nie stworzą czynu tam, gdzie tego czynu nie ma”. Do pierwszych zadań pełnomocników komitetu należało wykonywanie wezwań Rady Obrony Państwa, przy jak najszerszym rozwinięciu własnej inicjatywy, *tak w kierunku werbunku do wojska, wspieraniu pożyczki państwowej, jak i zbiórki wszelkich rzeczy w naturze służących obronie*. W liczne takie działania na terenie gminy Kłodawa aktywnie włączało się Koło Ziemianek inspirowane przez Leonie Grudzińską oraz miejscowe organizacje strażackie i kółka rolnicze, z którymi współpracował Bronisław Wiland. Już 12 lipca 1920 r. „Kurier Warszawski”, podając przykłady obywatelskiej ofiarności, informował o wpłatach na PCK, które wnieśli m.in.: dr Zygmunt Grudziński – *50 rb. papierami* i – Adamina Grudzińska z *Krzykos ziemi kaliskiej – 103 ruble*, a więc domownicy szwagierki Bronisława. Ziemianki organizowały składki pieniędzy i precjozów na potrzeby wojenne oraz zbiórki odzieży i środków opatrunkowych dla żołnierzy, organizowały szwalnie, w których szyto bieliznę dla wojska, urządziły punkty opieki nad inwalidami wojennymi. Mężczyźni poświęcali się sprawom logistycznym i aprowizacyjnym związanym z przebiegiem wojennego poboru oraz zaopatrzenia armii ochotniczej.

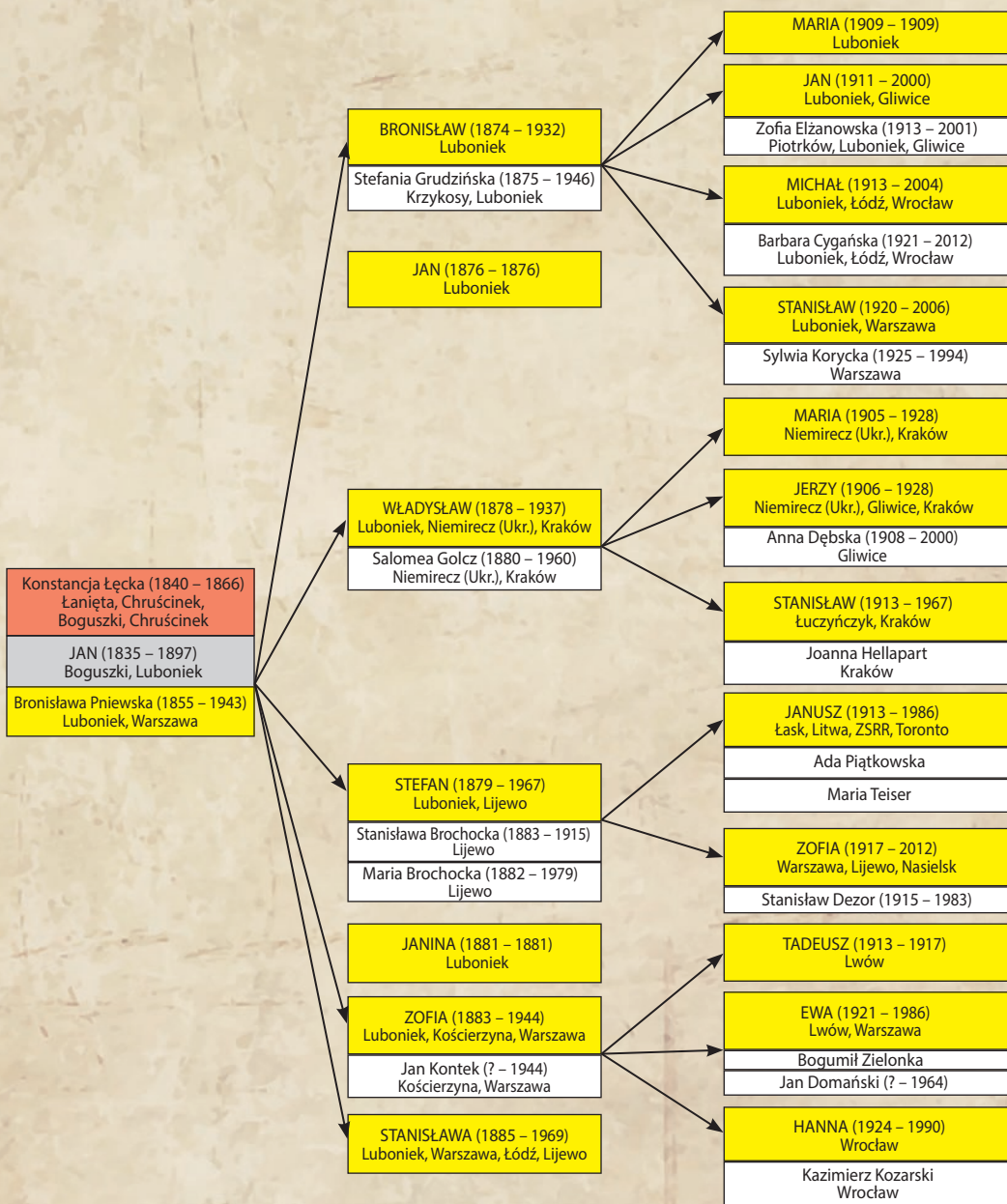
Wojna skończyła się odparciem najeźdźcy, do czego walnie przyczyniła się mobilizacja całego społeczeństwa. Nastąpił szczęśliwy czas pokoju, który można było wykorzystać dla odbudowy kraju i wzmocnienia jego gospodarki.

W 1921 r. Bronisław Wiland ponownie uzyskał mandat członka Sejmiku Powiatowego w Kole. Funkcję tę pełnił z krótkimi przerwami aż do kadencji rozpoczętej



Drzewo genealogiczne rodu Wilandów opracował Krzysztof Wiland.

Linia umownie zwana żółtą to ta, z której wywodzi się Piotr Wiland – autor tekstów o Bronisławie i Zygmuncie. Piotr Wiland jest synem Michała i Barbary z Cygańskich, a wnukiem Bronisława Wilanda – właściciela Lubońka.



w 1931 r., kiedy to do sejmiku wszedł z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Pracował m.in. w Komisji Rolnej, zajmował się budową dróg oraz sprawami melioracji. Przez dwie kadencje był również radnym gminy wiejskiej Kłodawa.

W wolnej Polsce majątek w Lubońku był sukcesywnie unowocześniany, a jego właściciel osiągał znakomite rezultaty w wielu działach produkcji rolniczej, skutkiem czego komisje ziemskie uznały dobra Wilandów za niepodlegające parcelacji. O takim pomyślnym zaszeregowaniu zdecydowało powiązanie upraw z wieloma gałęziami przetwórstwa rolniczego, jak choćby przemysł olejarski, ziemniaczany czy cukrowy. W tym ostatnim przypadku B. Wiland ściśle współpracował z Magazynem Nasiennym w Kutnie. Jako korespondent „Gazety Cukrowniczej” dzielił się też z plantatorami rezultatami własnych doświadczeń w zakresie przydatności nowych odmian czy rezultatów nawożenia buraka cukrowego.

W zakresie upraw nasiennych najlepsze rezultaty osiągał w zakresie produkcji nowych odmian koniczyny oraz traw, co wiązało się zapewne z oceną ich przydatności paszowej we własnym gospodarstwie, specjalizującym się w hodowli bydła mlecznego rasy nizinnej czarno-białej. Obora w Lubońku zaliczana była przez inspektorów Łódzkiej Izby Rolniczej do najlepszych w regionie.

Do największych lokalnych przedsięwzięć gospodarczych organizowanych z udziałem Bronisława Wilanda należała spółka akcyjna, zarejestrowana 10 czerwca 1924 r. w sądzie okręgowym w Kaliszu pod nazwą „Zakłady Rolniczo-Przemysłowe, spółka akcyjna w Koło”. *Celem przedsiębiorstwa – jak zapisano w zgłoszeniu – było: (...) zakładanie i prowadzenie zakładów przemysłowych do przerabiania płodów rolnych, pochodzących przede wszystkim z gospodarstw w okolicy miasta Koło, w woj. Łódzkim, w szczególności w celu założenia w m. Koło lub pod Kołem młyna z popędem mechanicznym, oraz czy to w Koło, czy w innych miejscowościach pod Kołem i innych zakładów rolniczo-przemysłowych. Kapitał zakładowy całkowicie wpłacony, wynosił 50 000 zł., podzielony na 5.000 akcji po 10 zł. wartości nominalnej każda akcja. Z całej ilości akcji dwadzieścia pięć procent ma być zawsze akcji imiennych, pozostałe zaś akcje na okaziciela. Zarząd stanowią: 1) Zygmunt Chrzanowski, Warszawa, ul. Smolna 14; 2) Janusz Machnicki, Warszawa, ul. Flory 5; 3) Władysław Kawecki, Koło, ul. Warszawskie Przedmieście 21; 4) Tadeusz Maringe, majątek Smolina, star. Kolskiego; 5) Józef Zdzienicki, Koło, ul. Zielona, dom Andlera; 6) Władysław Kasprowicz, osada Grzegorzew, star. Kolskie; 7) Bronisław Wiland, majątek Luboniek, star. Kolskiego; 8) Wacław Biskupski, Koło, Nowy-Rynek, dom Klimaszewskiego i 9) Jerzy Sokolnicki, majątek Powiercie, star. Kolskie. (...)*

Budowę młyna udało się sfinalizować, ale kolejne plany inwestorskie założycieli spółki przekreślił kryzys gospodarczy z końca lat 20.

Kończąc ten krótki szkic można wyrazić nadzieję, że kolejne publikacje Towarzystwa Samorządowego pozwolą na jeszcze pełniejsze omówienie działalności Bronisława Wilanda oraz poszerzenie informacji przekazanych w naszym artykule.

PRZYWRACAMY PAMIĘĆ I TROSZCZYMY SIĘ O ZABYTKI

Dzięki hojności uczestników kwesty zorganizowanej z inicjatywy Towarzystwa Samorządowego na Cmentarzu Parafialnym w Kłodawie odnawiane są cenne pamiątki naszej historii. W latach 2015–2021 dokonaliśmy renowacji kilkunastu obiektów, wydaliśmy 9 książek, zorganizowaliśmy wystawę, przygotowaliśmy prezentacje edukacyjne. Wartość zrealizowanych działań wynosi ok. 320 tys. zł. To znacznie więcej niż bilans listopadowych zbiórek (77 tys. zł), ale pieniądze od Państwa mają moc szczególną – inicjują kolejne przedsięwzięcia i dają nam ważny argument w rozmowach ze sponsorami oraz donatorami.

Chcemy dotychczasową działalność kontynuować. Prosimy zatem o wsparcie naszych działań przez wpłatę na konto: 59 1320 1016 2783 0783 2000 0004 z tytułem KWESTA KŁODAWA. Zbiórka zarejestrowana jest pod numerem: 2015/3993/0R

Każdą złotówkę dobrze wykorzystamy i pomnożymy dla przywracania pamięci o naszej historii, dla zachowania zabytków naszych nekropolii.

Oto dotychczasowe renowacje zrealizowane w Kłodawie oraz inne działania Towarzystwa Samorządowego:

1. Renowacja nagrobka Adama Rustejki Pieńkiewicza
2. Odnowienie płyt na grobach: Wincentego Cygańskiego, Franciszki Głuchowskiej
3. Renowacja kompleksu grobów, w których spoczywają: Walenty Witanowski, Maria z Ciesiołkiewiczów Witanowska, Kazimiera Pawlak z Witanowskich
4. Książka „Kłodawskie cmentarze”
5. Odnowienie grobu powstańca styczniowego Leopolda Płaczkiewicza
6. Strona internetowa www.klodawskiecmentarze.pl
7. Odnowienie grobu żołnierza AK Stanisława Markowskiego
8. Renowacja grobowca Doktorostwa Mysłowskich
9. Renowacja grobowca Zaborowskich
10. Renowacja grobu Ignacego Ochendalskiego i Antoniny z Jezierskich (najstarszy nagrobek na cmentarzu)
11. Renowacja grobowca Czerniewiczów
12. Publikacja o Saturninie Czerniewiczzu (1890–1961) „Życie pracą wypełnione”
13. Publikacja „Ludzie kłodawskich sołectw”;
14. Renowacja grobowca Błędowskich;
15. Prezentacja „Gospodarze i obywatele, z dziejów ziemiaństwa w okolicach Kłodawy oraz rodziny Błędowskich osiadłej w Krzewacie i Pomarzanach”;

16. Publikacja „Walka i praca. Szkice biograficzne i przyczynki do lokalnej historii”
17. Renowacja pomnika płk. Józefa Byszewskiego;
18. Renowacja grobowca Niesiołowskich;
19. Wystawa „Kłodawianie w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919–1921”
20. Publikacja „Kłodawianie w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919–1921”;
21. Publikacja „Obrazki z dawnej Kłodawy 1”;
22. Tablica upamiętniająca 1 burmistrza II RP – Stanisława Paluszewskiego.
23. Publikacja „Pełni nadziei i męstwa. Płk Józef Byszewski oraz inni uczestnicy powstania listopadowego z Ziemi Kłodawskiej”
24. Tablice upamiętniające mieszkańców gminy Kłodawa z wystawy „Kłodawianie w wojnie polsko-bolszewickiej w latach 1919–1921” umieszczone w SP w Bierzwiennie Długiej (Bronisław Bończak i Edward Rachwalski), w Górkach (Józef Jakubowski), w Lubońku (Bronisław Wiland), Głębokiem ((Ignacy Ziębowicz) i świetlicach wiejskich w Bierzwiennie Krótkiej (Zygmunt Kokczyński i Edward Rachwalski), Krzykosach (Leonia Grudzińska), Pomarzanach Fabrycznych (Feliks Błędowski i Franciszek Warszawski – także na przystanku autobusowym).
25. Publikacja „Obrazki z dawnej Kłodawy 2”.
26. Prezentacja „Przywracanie pamięci – renowacje, publikacje, wystawy” w ramach II Festiwalu Kłodawskie Dwory, Studzień, 18 września 2021.
27. Uzyskanie statusu grobów weterana walk o wolność i niepodległość Polski – mogiły Stanisława Markowskiego, Ferdynanda Niesiołowskiego, Edwarda Woltersdorfa
28. Publikacja „Biografie niezwykle – Zygmunt Grudziński, Bronisław Wiland”.

Dziękujemy za wsparcie w dotychczasowych działaniach. Jest ono wyrazem wspólnej troski o nasze stare kłodawskie cmentarze, a także podtrzymywaniem pamięci o lokalnej przeszłości, o osobach i ważnych wydarzeniach z naszej historii.

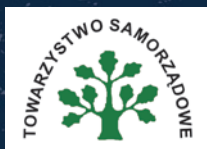
SZUKAJCIE NAS:
www.klodawskiecmentarze.pl
 Facebook – Dawna Kłodawa

Mój tata zapamiętał, iż w pierwszych miesiącach niepodległości przychodziły do właściciela majątku Luboniek liczne osoby. Długo trwały wspólne rozmowy z nimi. Ważnym zapamiętanym wydarzeniem były wybory do Sejmu w styczniu 1919 roku, gdy dwór w Lubońku został lokalem wyborczym. W tym czasie mój tata miał już 6 lat i wraz ze starszym od siebie bratem Jankiem potrafilo czytać, choć jeszcze niezbyt biegle. Ich ojciec Bronisław wyjaśniał im wydarzenia opisywane w gazetach. W tym czasie na wschodzie polskie wojska toczyły walki z bolszewikami. W jednym z pokoi wisiała na ścianie duża mapa, na której można było znaleźć miejscowości opisywane w gazetach.

Piotr Wiland (z rozdziału *Mój dziadek – Bronisław Wiland*)

W dniu 9 grudnia 1939 roku właściciele majątku w Krzykosach zostali wysiedleni przez Niemców z granic powiatu kolskiego do Generalnej Guberni i nigdy już nie mieli do siebie powrócić. Po zakończeniu wojny majątek został rozparcelowany, zaś większość okazałych budynków gospodarczych rozebrano. Na szczęście dworek w Krzykosach nie uległ dewastacji. Przez jakiś czas mieściła się w nim szkoła, a potem przeszedł w ręce prywatne i zachował swój zarys architektoniczny wraz z ogrodem i stawem. Miałem okazję – dzięki uprzejmości obecnego właściciela, pana Karola – w czerwcu tego roku zobaczyć wnętrza rodzinnego gniazda Grudzińskich i wyobrazić sobie te miejsca, gdy dawno temu służyły Zygmuntowi Grudzińskiemu za plenery.

Piotr Wiland (z rozdziału *Brat mojej babci – Zygmunt Grudziński*)



TOWARZYSTWO SAMORZĄDOWE W KONINIE – organizacja pożytku publicznego wspierająca współdziałanie mieszkańców w rozwiązywaniu problemów lokalnych środowisk, zgodnie z ideą społeczeństwa obywatelskiego. Od momentu powstania w 1994 r. upowszechnia wiedzę o samorządzie terytorialnym oraz wspiera organizacje działające na rzecz dobra wspólnego. Jest m.in. współzałożycielem Banku Żywności w Koninie. Podejmuje liczne działania służące wyrównaniu startu edukacyjnego młodzieży, a od 2001 r. prowadzi Fundusz Stypendialny. Znaczące miejsce w działalności TS zajmuje promocja wiedzy obywatelskiej oraz historycznej wśród młodzieży szkolnej.